Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 17 | Środa 24 grudnia, 1941. | Cena (Price) 9d.

TREŚĆ:

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

STRONNICTWO NARODOWE I REDAKCJA przesyłają wszystkim swoim członkom, sympatykom i czytelnikom serdeczne życzenia wigilijne na trzecią już gwiazdkę wojenną. Noc wigilijna staje się w dzisiejszej polskiej rzeczywistości prawdziwym "miejscem duchowym", *w którym wszyscy Polacy, bez względu na to gdzie się znajdują i w jakich warunkach, pewni są, że się spotkają ze sobą o tej samej porze.*

W tym rozumieniu życzenia nasze, acz kieruja się w pierwszym rzędzie ku tym, co je przeczytają, obejmują jednak całą Polskę, jak szeroka i długa, oraz wszystkich Polaków, rozsianych po całej już chyba kuli ziemskiej, całą więc Polskę umęczoną i walczącą.

Życzenia mamy wszyscy jedne, tak jasne, że nie wymagają słów. Ze słowem Polska *w sercu i myśli wkraczamy w zbliżający się Rok Nowy, nie wiedząc, czy właśnie on nasze życzenia ziści. Wiemy tyle, że z Bożą pomocą przetrwamy walcząc ile trzeba będzie, ale do celu dojdziemy. Zaiste już Moc truchleje i przepadnie . . .*

Dzięki tej naszej nieprzepartej, niezmożonej wierze i woli zwycięstwa możemy się w sercach naszych zdobyć i na szczyptę wesela w te dnie chrześcijańskiej radości, jakie ku nam idą.

Dobrych Świąt !

Józef Załęski

Gwiazdy w czasach zamieci

PRZEDE WSZYSTKIM i zaraz z miejsca pragnąłbym oznaczyć charakter uwag, które tu zostaną wypowiedziane. A równocześnie zakreślić granice tematu. Uwagi będą tylko luźnymi notatkami i niczym więcej, a temat zostaje skromnie zwężony, choć nadaje się na studjum, albo bardzo pracowitą powieść obyczajowo-polityczną.

Chodzi zresztą w istocie o rzecz niedrobną — o drogi myśli, jakimi chodzi nasze środowisko emigracyjne w Wielkiej Brytanji, środowisko z urzędu i własnej ambicji mające się za czynnik kierowniczy całego narodu w jednej z najbardziej rozstrzygających chwil historji. O drogi myśli, oraz o to, co z tych poruszeń intelektu praktycznego wynika. Słowem o tę całą wiązankę treści, która jest zawarta w czynnościach polskiej emigracji.

Gdy taki temat zostaje poruszany, muszą się zarysować dwie warstwy tematów — dodatnich i ujemnych. Jak zawsze w życiu, nie ma między tymi warstwami wyraźnego przedziału, przetykają się one wzajemnie i krzyżują, ale na tyle są wyraźne i gatunkowo rozpoznawalne, że w klasyfikacji pomyłek zrobić nie można.

Bilans ogólny wydaje się pokrzepiający i korzystny, jakkolwiek niezupełnie z tych przyczyn, które się zazwyczaj podaje, kiedy jest urzędowo mowa o optymizmie. A raczej z przyczyn najzupełniej odwrotnych. Niemniej po stronie "ma" jest pozycji wiele i ważnych. Po stronie "winien" także. Nie trzeba ponadto przeceniać skali ujemności, tkwiącej w pozycjach minusowych. Nie jest to skala zła największa. W tej fazie, w jakiej się ono obecnie manifestuje, nie będzie jeszcze na niczym decydująco ważyło, ani niczego rozstrzygało. Może tylko hamować i osłabiać, choć siły, z których wyrasta, w zasadzie swojej powołane są do tego, aby pomagać i ułatwiać. Więc nie samo jego istnienie w fazie obecnej jest groźne, ale tendencja do wzrostu, która w nim tkwi, do rozwijania się i wielokrotnienia. Istnieje obawa, że z tych złych ziaren może wyróść las burzanu i ostu, który przygniecie sobą, zabije i zadepce wszystko inne.

Dwa ubiegłe lata były jednym pasmem nieustannej nauki, aplikowanej w sposób bezceremonjalny i obcesowy. Upływający czas ciągle uczył. Co prawda lepiej uczył jednostki, aniżeli zespoły jednostek, ale dobre i to. Uczył naprzykład zastanawiać się nad zjawiskiem, które dawniej zaledwie było dostrzegane, nad gatunkiem i wartością cech, tkwiących w poszczególnych narodach. Okazji praktycznych do tych zadumań było wiele, a i myśl o konieczności budowania nowego po wojnie świata dawała impulsy do porównań z tego zakresu.

Po klęsce państwa polskiego jednej z największych, jakie zna nasza historia, po przejściach polskich we Francji, po tysiącach mordęg i zawodów, po przetułaniu się po przez setki więzień, po przejściu przez zielone, wodne i powietrzne granice, po wysłuchaniu niezliczonych krytyk wszystkich sojuszniczych mądralów na temat wad charakteru polskiego — okazało się nagle, że materiał, z jakiego został stworzony a następnie przez okoliczności uformowany Polak jest jednym z najlepszych materiałów na świecie.

Można z takim materiałem robić wszystko. Można budować dom, chociaż "materiał" jest przypadkiem śpiewakiem albo gazeciarzem i nigdy kielni nie miał w łapie, można spuszczać niemieckie samoloty do 40% w tabeli miesięcznie, można organizować gromadne ucieczki z najlepiej strzeżonych obozów koncentracyjnych, można wsadzać w sam środek burzy do różnych Tobruków, Malt i Narwików ludzi, którzy od lat nie mieli chwili wypoczynku a żyli w bezustannym ukropie, można z nim kopać kartofle i pielić miny magnetyczne z morskich bruzd.

Ale nadewszystko można z takim materiałem budować — państwo. Silne i trwałe państwo. Bowiem Polak jest odważny, ofiarny i wytrzymały, niepoddający się rozpaczy i karny, to znaczy poddający się rozkazowi. Tak jest! Wszystkie te przymiotniki i określenia powiedziane są z pełnym pokryciem. Polak jest karny i zdyscyplinowany. Niech nikt nie da się zwieść zewnętrznym ornamentom, które wcale nie są zachęcające i dlatego właśnie wzięte zostały za fundament do sądów o Polakach przez naszych niemieckich dobroczyńców, rozpylających te wspaniałe produkty na cały chłonny wiedzy świat. Niech nikogo tedy nie zwodzi zewnętrzne akcesorium: niewyparzony pysk, nonszalancja, leciutka warstewka blagi i sportowe zamiłowanie do swaru w chwilach wolnych od pracy.

Każde z tych określeń w stosunku do Polaków zawiera szczyptę prawdy, ale prawdy wyłącznie zewnętrznej. Bo niech tylko w najbardziej niedogodnej choćby chwili padnie — nie fałszywym, nadętym i melodramatycznym — ale ludzkim i prostym głosem wypowiedziany rozkaz, a gromada tych swarzących się Polaków pójdzie szykiem dwa razy spoistszym od najbardziej wzorcowego oddziału S.S. na najbardziej trudne i śmiertelne zadania. Na co chcesz: na zasłanianie Francuzów, którzy wczoraj jeszcze cię łżyli, a dziś leżą jak pośnięte zające, pod salwę plutonu egzekucyjnego, na niemieckie tanki z gołemi rękami, na obronę dachu H. G. Wellsa przed bombowcami niemieckimi, żeby biedak mógł spokojnie kłaść na papierze znak równości między Polską i Hondurasem, na niemieckie fabryki, na, strach powiedzieć, także na przeprowadzenie zebrania według najidealniejszego wzorca demokratycznego w jakiejś ważnej sprawie ogólnej.

Wszystko zrobią na wezwanie. Ale w rzeczy tej idzie o ton, o dotrzymanie taktu, o muzykalne ucho. Spokojne zaglądanie śmierci w oczy nie jest bądź co bądź rzeczą zupełnie prostą. Polak chce, aby-skoro ma już na to iść — wołał go nie kaprys, ale rzecz ważniejsza. Naprzykład Ojczyzna. Poprostu Polska. Jednak wiadomo: Polska przemawia głosem ślicznym. Czystym jak kryształ, prostym jak niekłamane słowa miłości i cichym jak głos sygnaturki wieczormej w mojej dalekiej wsi, we wsi Jabłonnej. Zwyczajnie tak: "Synu! . . ."

Nigdy nie przestanę się zastanawiać nad tym zjawiskiem: masy wspaniałe, emanacja mas djabła warta. Nie tylko u nas, ale właściwie wszędzie. Idą pokolenia za pokoleniami, niekiedy przez setkę lat i ciągle jest to samo. Nieumiejętność wyłonienia rządu, który byłby akurat tyle samo wart, ile wart jest naród. Zwykle stosunek jest jak 1 : 10. Na korzyść narodu. Szczególnie jednak często przydarza się to Polsce. Zjawisko ustawiczne. Naprawdę wielka tragedia. Na sposób antyczny. I jedyna pociecha, że Arystofanes znał wyjście: deus ex machina. Nas ratuje deus ex coelo. Ale strzeliste niebo może się wreszcie zniecierpliwić i powiedzieć: Polaku ratuj się sam.

Jak to bywało od niepamiętnych czasów podczas wszystkich wojen świata. Mniejsza zresztą z tym. Nie czas teraz przypominać te rzeczy, bo po tej wojnie będzie inaczej. Będzie inaczej, aniżeli opisano w rzewnej książce dobrego autora angielskiego, pana Maxwella. To znaczy rządy i pokój będą chyba robić ludzie równie wielcy, jak ci, co, niestety muszą teraz robić wojnę. Bo pokój jest trudniejszy od wojny. Wymaga wielkości i siły. Na wojnie muszą być żołnierze, w rządach powinni być cywile. Ale i tu i tu-mózgi i charaktery, w rządach i na konferencjach pokojowych kongenjalne odpowiedniki takiego lotnika bombowego, czy myśliwskiego, kierowcy tanku, obrońcy Warszawy, albo Tobruku. I tu i tu jeden format, jedna klasa, jeden wielki styl. W rządach też.

Stado ludzkie, czyli mówiąc językiem socjologji grupa społeczna nie lubi i nie może żyć bez otamowań i podpór.

Stwarza sobie pomoce w postaci pewnych układów, te układy starannie petryfikuje i stara się trzymać uporczywie, choćby z nich już wyciekła cała treść. Z grupy społecznej wydzielają się mniejsze grupki pod kolor, pod komendę, pod pana ministra, albo bodaj tylko pod śledzika zakropionego w kratkę. Powstają mniejsze grupki z mocnym poczuciem, że trzeba wytwarzać własny lokalny patriotyzm, mocno trzymać się za ręce, a intruzów gryźć. Normalne zjawisko społeczne staje się schorzeniem, o ile narastający schemat straci swą początkową, służącą do jego powstania, treść, albo gdy wogóle na początku nie było żadnej treści, tylko prosty, wyrozumowany, wydukany, wydłubany interes. Tak było zawsze, w tej postaci w mniejszym lub większym nasileniu zjawisko to występowało wszędzie.

Grupa społeczna, której na imię polskie środowisko emigracyjne nie umknęła powszechnemu prawu wydzielania ze siebie odłamów. Różnych. Powstałych na zasadach słusznych i zdrowych. Ale i takich, które są wewnątrz dudniąco puste. Powstawały albo wogóle bez surowca ideowego, albo po krótkim istnieniu traciły go zupełnie. O tych ostatnich będzie tu mimochodem mowa w ten trzeci smutny wigilijny wieczór. Będzie mowa nie ze złością, pianą i zacietrzewieniem, ale przyjaźnie i — excusez le mot — miłością. Bo taki jest charakter tego wieczoru. Bo, jak ostatnie doświadczenie uczy, i łamany opłatek może być gorżki i cierpki, lecz o tak niezwykłym dla siebie smaku tylko po to, aby już na zawsze mogły przyjść takie opłatki, które nie będą ani gorżkie ani cierpkie.

Więc naprzykład tak: pewne koła polskich socjalistów w Anglii. Nie wszystkich. Mała ich grupa. Niestety, grupa głośna, natrętnie narzucająca się, wyzyskująca w sposób demagogiczny sytuację i okoliczności. Schemat i frazes chyba nigdzie nie osiągnął tak zawrotnych wyżyn doskonałości, jak tu. Życie wali wszystkimi łożyskami i tętnicami, zdarzenia idą jedne za drugimi, proces przemiany świata pęcznieje i nabrzmiewa, że zmiany obserwować można niemal z dnia na dzień, a towarzysze gruchają sobie w najlepsze wolapükiem przedpotopowym, nomenklaturą — powiedzmy — neolityczną. Nie rozumieją, że nic na tej ziemi, oranej błyskawicami "blitzkriegów" nie stoi w miejscu, że zmienia się także forma najbardziej niezmiennych ideologii, że się dostosowuje do narastających warunków, że jest wstecznictwem, ciemnotą i beocją — skoro tak lubicie te wyrażenia — używać kształtów i form, krojonych na inne sytuacje, na przezwyciężone układy. Można doskonale pojąć, że socjaliści chcą socjalistami zostać i socjalizmem zbawić świat, że uważają swoją ideę za niepożytą i trwałą, ale, na miły Bóg, nie można w roku olbrzymiego, chyba największego, pożaru świata mówić tonem konwersacji z okresu pieca kaflowego. Mówić, przekonywać i przypierać przeciwnika do muru, a nadewszystko łajać go zwycięsko.

Albo też to: grupa ludzi, tworząca "zręby ideologii" owijająca się jak bluszcz wokoł ściślejszego rządu. Cóż, zjawisko normalne. Ponadto w warunkach obecnych zrozumiałe że niewielkie i niebogate w liczbę. Pozatem uwikłane w trudności typu, możnaby rzec, intelektualnego. Ale nie to jest u nich jeszcze problemem. Zagadnieniem, problemem i piętą jest tu następstwo małej liczby i małego surowca myślowego: podejrzliwość i nieporadność. Straszliwa podejrzliwość. Poprostu uraz podejrzliwości. Zupełnie, jakby się ubrali po raz pierwszy w elegancki i za ciasny kołnierzyk i patrzyli po zebranych, czy się kto przypadkiem nie naśmiewa. I to rozbrajające niezrozumienie! Że naigrawanie idzie nie przeciw samemu wdzianiu kołnierzyka, ani nie przeciw temu, że jest elegancki i dużo kosztuje, ale przeciw temu, że jest za ciasny, że nie pozwala oddychać.

Ale zrozumcie: nikt nie chce nikogo zwalać i wysadzać. Niech będzie wszystko, czego chcą, nawet bluszczowatość i rzecz gorsza od tego, "Dziennik Polski," tylko niech to nie mija się z celem, niech będzie trafne, celowe, pracowite, mniej gadatliwe a bardziej przewidujące. Poza tym wszystkim, niech będzie.

A obok tej grupy — inna: ludzi zdezorientowanych, ludzi nawiązujących trochę ideowo, a trochę personalnie do przedwojennej, polskiej rzeczywistości. Nie wszyscy, bo są grzesznicy niepoprawni, ale spora ich część pod uderzeniem straszliwej klęski gotowa była odwrócić się od swojej przeszłości i ze skruchą otworzyć ramiona temu, co przyjdzie. Stali z otwartymi ramionami dość długo, niektórzy próbowali nawet z gorliwością neofitów zaczepiać ręce o nowe, podyktowane formy pracy. Ale gdy na polu roboczym natknęli się na zbyt wielką liczbę kamieni nonsensu i nieporadności — podali wraz ze swymi dobrymi chęciami tyły i zrejterowali. Zrejterowali poprostu nie gdzieindziej, tylko znów we własną przeszłość. Skoro nie można ujechać z nową polską rzeczywistością niech będzie tedy stara. Nic bardziej i nic jaskrawiej nie świadczy o zabójczości schematu, jak ten powrót do starych pieleszy argonautów poprzedniego regimu, którzy w swej pierwszej wyprawie doznali zawodu. Wyprawa miała motywy idealistyczne, ale powrót świadczy o bezmyślności.

Bo zarówno oni, jak i wielu innych nie rozumie, że tu nie idzie gra o zwycięstwo któregoś z istniejących kształtów, o ostanie się, zlepienie i podtrzymanie któregoś z istniejących dotąd schematów, zarówno w Polsce, jak i gdzieindziej. Idzie o co innego. O stworzenie nowej formy, o danie Polsce i światu nowej treści i nowego kształtu. Można myśleć tylko o braniu najwartościowszych elementów przeszłości do nowej budowy, ale nie całych zespołów budowli, zwłaszcza zespołów złych, które nie wytrzymały próby życiowej realizacji. Ze złomu przeszłości należy brać tylko surowiec wartościowy, ten, który w ogniu i burzy ostał się i nie rozleciał, nie zawahał, nie ustąpił. Wytrzymał. Z nim tylko trzeba przystępować do budowy. Do nowej budowy. Precz ze schematami, kto na nie stawia — przegra i sprowadzi katastrofę. Nie każde pokolenie, nawet nie co dziesiąte, ale — tak się złożyło — że właśnie nasze: żyje w czasie, kiedy świat jest rozbulgotany, dymiący lawą. Jest przed chwilą nowego stworzenia. Można zeń zrobić wszystko, ale można ulepić bohomaza!

W trzecią gorżką i piekącą wigilię nie będzie się pod choinką, symbolizującą wieczną zieloność nadziei, wielu kładło podarków. Poprostu z powodu szaleństwa świata nlema dość bochenków chleba i dość ciepłego ubrania, aby nakarmić i przyodziać wszystkich, którzy pod sosnowe gałęzie dziecięcego wspomnienia przyjdą szukać rzeczy najbardziej upragnionej — ratunku. A cóż innego wkładać pod "drzewko"? Samochody, brylanty, biżuterje, może złoto?

Więc jeżeli nie chleb, nie spokój jeszcze i nie garsteczkę ciepła w to straszne wycie burzy, to co?

Tym, którzy chleba mają dosyć, ale są mimo to głodni, którzy mają elektryczne piece, ale odczuwają zimno idąc wyobraźnią na wschód, tym, których nie rusza narazie burza, ale którzy mimo to drżą za innych i o innych, tym pod kojący symbol dzieciństwa chciałoby się położyć jeden niewymierny w cenie dar — dar myśli.

Gorącym sercem i bez złośliwości, bez aluzji — pomimo wszystko, co się tu dotąd napisało, szczerze, poprostu, po bratersku, po chrześcijańsku i, psiakrew, naprawdę po de-mo-kra-tycz-ne-mu kładzie się pod choinkę polskim ludziom w Anglii podarunek myśli. Niech myślą, niech się przerzynają zwojami mózgu przez trud i koszmar tego czasu, niech wybiegają trudną pracą wyobraźni w przyszłość. Przez ten dar, dawany polskiej emigracji, daje się najwięcej Krajowi, do którego przypadamy z największą czułością: i chleb i ciepło, i spokój — i wielką, silną, sprawiedliwą, Polskę.

Myśl zapala się jak gwiazda. Myśl, która da szukany z takim mozołem znak do najważniejszego równania drugiego stopnia: kiedy między wartością narodu i wartością jego rządu zaistnieje znak równości.

Obraz ten jest jednak nie tylko przenośnią, jest prawdą tego wieczoru: jak w mózgu człowieka, tak pod wysoką czaszką nieba zapala się gwiazda.

Gwiazda Betlejemu.

Józef Załęski.

Studnia Bracka

CHĘTNIE pokazują Cieszyniacy przyjezdnemu w dolnej części swego miasta, niedaleko Olzy, starą studnię, którą zowią Studnią Bracką. Opowiadają przy tym, że według starej legendy trzech braci, Lech, Czech i Rus, po długiej po świecie wędrówce spotkało się przy tej studni. A że się ze swego spotkania bardzo cieszyli, miasto, które w tym miejscu powstało, zostało nazwane Cieszyn.

Śląsk Cieszyński Lechowe stanowił dziedzictwo i nieopodal Studni Brackiej na wzgórzu wyrosły ongiś mury zamku piastowskiego. Dziś z tego zamku tylko resztki ruin pokazują Cieszyniacy ciekawym przybyszom, ale biała baszta, na wzgórzu tym stojąca, nadal się zowie Wieżą Piastowską. Gdy obcy przybysz stanie u stóp tej baszty w dzień pogodny widzi przed sobą wstęgę Olzy, co przecina śląską ziemię. Mimo naporu niemczyzny, który trwał przez długie wieki, lud polski nie dał się wyprzeć z tej pięknej krainy. Nie na darmo żyła tu legenda, że właśnie tu, na ziemi Śląska Cieszyńskiego, Wanda, "co nie chciała Niemca", do Wisły skoczyła. I małą mieścinę, w tym miejscu powstałą, Skoczowem nazwano, a Wisła, która w Beskidach Śląskich bierze swój początek, poniosła tę wieść na dalsze ziemie polskie.

Lecz mimo że polskość trwała niezmiennie przez wieki w duszach i w mowie ludu po obu brzegach Olzy i u źródeł Wisły osiadłego, Biały Orzeł na długo został zdjęty z Wieży Piastowskiej na wzgórzu zamkowym w Cieszynie. I około Studni Brackiej nie bracia słowiańscy radośnie się witali, lecz germańscy przybysze nad wytępieniem ducha i mowy polskiej radzili. Ale przyszedł koniec października 1918 roku, gdy zbladły twarze Germanów i Studnia Bracka powróciła do swej roli, którą w zaraniu dziejów spełniła. U schyłku wojny światowej podali sobie w Cieszynie ręce Polacy i ci Czesi, co tam część garnizonu austriackiego stanowili, i gdy Polacy odbierali broń z rąk niemieckich czescy żołnierze im w tym pomagali. Władza przeszła w ręce polskiej Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego i Orzeł Biały wrócił na Wieżę Piastowską w Cieszynie.

Gdy nazajutrz po tym pamiętnym dniu ze wszystkich stron kraju do Cieszyna napływać poczęli Ślązacy, by święcić wyzwolenie i powrót do polskiej Macierzy, na dworcu cieszyńskim i w mieście pełnili straż w bratniej zgodzie polscy i czescy żołnierze. Na bączkach wojskowych czapek austriackich widziało się polskie i czeskie kolory. A straż była konieczna, bo Niemcy cieszyńscy wraz z częścią niemieckiego garnizonu, wyszedłszy z pierwszego osłupienia, szykowali się do kontrpuczu. Więc pókiby nowa polska siła zbrojna nie została ze śląskich ochotników sformowana, Rada Narodowa zwróciła się do czeskich żołnierzy, by odroczyli swój wymarsz. A choć tym śpieszno było wrócić w domowe swe strony, nie odmówili swym polskim braciom. Przyjaźń i współpraca polsko-czeska była w tych dniach pełna. Gdy w kilka dni potem oddział czeski opuszczał Cieszyn, żegnany był owacyjnie przez ludność polską, a jego dowódcy Rada Narodowa ofiarowała konia z rzędem.

W te dnie wyzwolenia spod panowania austriackiego nie tylko sentyment słowiański się obudził, ale również u tych skromnych mieszkańców ziemi cieszyńskiej wystąpiła mądra racja stanu. Jak na każdym pograniczu dwóch narodów, również i na Śląsku Cieszyńskim były gminy, w których żywioł polski ścierał się z żywiołem czeskim i walczył o przewagę wpływów. Jednakże w te dnie wyzwolenia ucichły drobne spory braterskie i racja stanu, dobrze przez polskich i czeskich mieszkańcow tej ziemi wyczuta, podyktowała im układ, który podpisany został już dnia 5 listopada 1918 r. przez przedstawicieli Rady Narodowej z Cieszyna i Narodnigo Vyboru z Polskiej Ostrawy. Śląsk Cieszyński dzielił się na 4 powiaty, z których Bielski i Cieszyński przypadły w całości Radzie Narodowej, zaś cały Frydecki — Narodnimu Vyborowi. W powiecie czwartym, Frysztackim, Narodnimu Vyborowi przypadły te gminy, w których zarządy gminne były czeskie, zaś inne gminy przypadły Radzie Narodowej. Tak więc podział ten oparł się na plebiscycie ludności, wyrażonym w wyborach gminnych, i dlatego uznany został przez ludność miejscową za kompromis, uwzględniający tak interesy i uczucia czeskie, jak i polskie.

W umowie z dnia 5 listopada 1918 znalazło się miejsce nie tylko na rozgraniczenie władzy polskiej i czeskiej, ale także na takie postanowienia, jak to, które mówiło, że "władze narodowe poręczają sobie wzajemnie w całym Księstwie Cieszyńskim pełną ochronę mniejszości narodowych, szczególnie pod względem oświatowym, szkolnym i narodowo-politycznym." Duch zgody i współpracy i wzajemnego poszanowania interesów zrodził umowę i wszystkie jej postanowienia. Podpisali ją ze strony polskiej socjaliści Tadeusz Reger z Cieszyna i Ryszard Kunicki z Frysztatu, ludowiec Paweł Bobek z Cieszyna oraz narodowiec inż. Józef Kiedroń z Dąbrowy. Czechów w umowie reprezentowali pp. Cingr, Nohel, Witt i Pelc z Morawskiej lub Polskiej Ostrawy, znani i uznani przywódcy czescy na pograniczu śląsko-morawskim.

Tak zostały położone nowe podwaliny pod gmach zgody i współpracy polsko-czeskiej. Umowa z dnia 5 listopada 1918 mogła połączyć oba narody, odnowić dawne przyjaźnie, zespolić siły przeciw wspólnemu wrogowi, który choć powalony powstać miał znowu i niezadługo, by raz jeszcze uderzyć swą zbójecką maczugą w narody słowiańskie. Czemu tej roli umowa ta nie spełniła? Nie jest to winą ludu śląskiego. Zgodę miejscową zmąciły wiatry obce, uderzył w nią najazd wojsk czeskich w styczniu 1919 r., w chwili, gdy kraj cieszyński był bezbronny, bo polskie oddziały tutaj sformowane odeszły już były pod Lwów i tam już walczyły. W zamęcie dziejowym, w natłoku myśli i pożądań, gdzieś zdala od ziemi cieszyńskiej powstały pomysły agresji, pozorem walki z zamętem socjalnym tłumaczonej, oraz fałszem mundurów alianckich przybranej, i przesłoniły rację stanu, która zgodę a nie walkę dyktowała. Niebo nad Studnią Bracka zakryło się czarną chmurą grozy i polała się krew bratnia. Zginął brat gen. Józefa Hallera, zginęło tylu innych. Pod Skoczowem broń polska powstrzymała napór broni najeźdźczej, a zgiełk walki wojsk bratnich wtargnął jak zgrzyt ostry w szmer legendy wiślanej, która dotąd mówiła tylko o walce z naporem germańskim.

Los ziemi cieszyńskiej zawisł teraz od delegacji alianckich, co w Paryżu radziły. Roman Dmowski podjął obronę praw jej mieszkańców i bronił ich skutecznie. Projekt komisji Cambona wytyczał linię graniczną bardzo zbliżoną do linii z umowy z 5 listopada 1918, jedynie tylko w południowej części kraju odbierał Polsce górski okręg Jabłonkowa. Potem przyszła klęska czeska pod Miskolczem, gdzie wojska bolszewickich Węgier Beli Kuhna pobiły wojska czeskie i parły na Słowaczyznę. W Narodnim Vyborze w Polskiej Ostrawie zapanowała obawa, że Polska drogą rewanżu zabierze siłą cały Śląsk Cieszyński, ogołocony teraz z wojsk czeskich, które na front węgierski odejść musiały. Niektórzy polscy szowiniści wołali: "Polska granica — Ostrawica".* Ale nie dawano im posłuchu, Polska czekała ufnie na wynik plebiscytu, plebiscytu, ktory wcale nie miał się odbyć,— i na decyzję paryską. Smutne to są wspomnienia nieziszczonych nadziei.

Ale nie ma tak bolesnych waśni, tak bolesnych wspomnień, którychby nie można zatrzeć nową braterską zgodą, gdy przyjdzie czas otrzeźwienia i zrozumienia wyrządzonej krzywdy. Niestety, wiele burz przeszło, nim taka chwila nadeszła. W r. 1920, gdy wróg ze wschodu stał u bram polskiej stolicy i groził Polsce zagładą, zamknęła się na południu i na północy możność dowozu broni dla armii polskiej. W takim to czasie, dla Polski najbardziej tragicznym, zapadł w Paryżu wyrok Rady Ambasadorów w sprawie Śląska Cieszyńskiego. Na dwa tygodnie przed bitwą warszawską, w poczuciu zupełnej bezsiły odmowy swego podpisu, brał pióro do ręki I. J. Paderewski, by podpis swój na tym wyroku położyć. Ale kładąc swój podpis I. J. Paderewski wystosował notę do

* Rzeka Ostrawica stanowi granicę między Śląskiem Cieszyńskim a Morawami. Nad Ostrawicą po stronie śląskiej leży Polska Ostrawa, a po stronie morawskiej Morawska Ostrawa. Śląski powiat Frydecki, który tutaj przytyka do Moraw, ma ludność w swej przeważającej większości niewątpliwie czeską.

Przewodniczącego Rady Najwyższej, w której wyraził się cały jego ból. Ta nota brzmi jak testament. "Z nieprzezwyciężonym bólem — pisał I. J. Paderewski — położę mój podpis pod dokumentem, który nam odbiera tak godną, tak cenną i tak nam drogą część naszego narodu. Atoli zanim to uczynię, chcę Panu oświadczyć, Panie Prezydencie, że jakkolwiek rząd polski szczerze pragnie wykonać całkowicie i lojalnie powzięte przez się zobowiązania, to nigdy się nie uda przekonać narodu polskiego, że sprawiedliwości stało się zadość. Świadomość narodowa silniejsza jest i trwalsza, niż rządy". Ale nie tylko nad krzywdą ludu śląskiego bolał Paderewski. Takim samym bólem napełniała go troska o przyszłość obu narodów, których zgodna współpraca została zagrożona. Pisał więc w swej nocie: "W takich warunkach, Panie Prezydencie, jest rzeczą mało prawdopodobną, aby szlachetny cel Rady Najwyższej, położyć kres konfliktowi i ustanowić normalne i przyjazne stosunki pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Rzeczpospolitą Czeskosłowacką, mógł być osiągnięty. Albowiem decyzja powzięta przez Konferencję Ambasadorów wykopała pomiędzy dwoma narodami przepaść, której nic wypełnić nie zdoła".

Tragizm słów powyższych położył się wielkim ciężarem na dziejach ostatniego dwudziestolecia. Zbyt świeże są one w naszej pamięci, zbyt silnie zaważyły one na naszych losach dzisiejszych, by trzeba je było przypominać. Pchnięci decyzją Rady Ambasadorów na ścieżkę niezgody, szliśmy po manowcach. Przyszedł rok 1938. Zaolzie wróciło do Polski, ale wróciło w formie i w warunkach, które sprawiły, że naród polski nie mógł się pełnym sercem cieszyć z tego powrotu. Nad Studnią Bracką Polak i Czech nie podali sobie zgodnej ręki. Ciemne chmury zwierały się coraz silniej i gromy spaść miały niezadługo.

Dziś ziemia Zaolzia dzieli los taki sam, jak reszta ziem polskich i wszystkie ziemie czeskie. Germański wróg sroży się tam z jeszcze większą okrutnością, niż kiedykolwiek. Zginęli starzy, wypróbowami przywódcy polscy na Zaolziu. Zginął pod razami niemieckich oprawców dr. Olszak, b. burmistrz Karwiny, umarł w obozie w Dachau dr. Jan Buzek, b. wieloletni poseł polski na Sejm w Pradze czeskiej, umarł w obozie ks. pastor Nikodem, superintendent i przywódca polskich ewangelików na Zaolziu, godny następca ś.p. ks. Franciszka Michejdy z Nawsia. Odeszli ci ludzie szlachetni i wielcy umiłowaniem swej ziemi i Polski a cisi i skromni, uznani przywódcy polscy na Zaolziu nie na mocy żadnego nakazu, a z mocy siły swego ducha i prawości charakteru. Zginęli i inni, którzy stali nie na czele a w szeregach, których nazwiska giną w powodzi nazwisk tych, których zamęczył furor germanicus. Ich krew i śmierć swiadczą jeszcze raz, że polskości Śląska Cieszyńskiego nic nie złamie. "Świadomość narodowa silniejsza jest i trwalsza, niż rządy".

Nad Wieżą Piastowską w Cieszynie przez wieki przeszło burz wiele, a więc i ta obecna przejdzie i przeminie. A wtedy, gdy burza przeminie, trzeba by wrócił dzień taki, jak wtedy w październiku 1918 roku, gdy przy Studni Brackiej w Cieszynie podali sobie ręce Polak i Czech i zgodę sobie obiecali. Trzeba wypełnić testament tych, których dziełem była umowa z 5 listopada 1918, trzeba wyciągnąć naukę z testamentu I. J. Paderewskiego. Trzeba tworzyć zgodę trwałą i silną jak stal narodów polskiego i czeskosłowackiego, bo tylko wtedy pokój panować może na ziemiach słowiańskich. Ziemia Cieszyńska nie przedmiotem waśni, ale pomostem zgody i współpracy polsko-czeskiej być musi. A wtedy Cieszyniacy pokazując przybyszom swą starą Studnię Bracką będą mogli bez żalu i smutku mówić o dawnej legendzie, że przy tej Studni spotkali sie Lech, Czech i Rus i że dzięki ich radości powstało miasto Cieszyn.

A. K.

Projekty i rzeczywistość

Z CHWILĄ, gdyśmy przekroczyli granice kraju, zaczęły się rwać nici, łączące nas bezpośrednio z pozostawioną w obrębie tych granic rzeczywistością. Wynieśliśmy ze sobą pewien obraz stosunków, obraz ukształtowania się życia, urywający się na wrześniu 1939r. i nieraz zdajemy się zapominać o tym, że życie tam potoczyło się dalej, kształtowane bezlitosną i wrogą ręką okupanta, że rzeczywistość, którąśmy zostawili w chwili katastrofy wojennej, już nie istnieje. Przed upadkiem Francji, kiedy wierzono ogólnie w szybkie zakończenie wojny, mogło się wydawać, że okupacja nie zdoła przekształcić gruntownie oblicza kraju, że nie pozostawi głębszych i trwałych śladów w jego życiu. Wojna trwa już jednak przeszło dwa lata i nic nie obiecuje jej rychłego końca. W wyniku przygotowanej zawczasu, przemyślanej, systematycznej i brutalnej akcji okupantów nastąpiły w tym czasie w kraju ogromne przemiany w stanie prawnym, w stosunkach demograficznych, w układzie sił gospodarczych, w przemyśle, handlu, własności. Przemiany te pokryły grubą warstwą obraz kraju, jaki wynieśliśmy, idąc na emigrację. Jest to dziś obraz całkowicie inny; znamy jego ponure kontury, lecz, patrząc zdaleka, tracimy zdolność widzenia szczegółów i poszczególnych fragmentów. Nie wydaje się, abyśmy tę warstwę przemian potrafili zetrzeć bez śladu, aby naprawa wyrządzonych przez okupantów krzywd była możliwa przez zastosowanie na wielką skalę zasady powrotu do stosunków sprzed wojny. Przyjąć raczej należy, że w wielu wypadkach będzie to niemożliwe.

W okresie francuskim rząd wydał dekrety, którym przyświecała tendencja restytucji stanu sprzed września 1939r. Orzeczono w nich nieważność aktów władz okupacyjych, dotyczących przeniesienia, obciążenia lub ograniczenia prawa własności na rzecz okupanta lub jego obywateli, wprowadzono moratorium dla długów prywatno-prawnych, powstałych przed 1 października 1939r., zawieszono eksmisję lokatorów i dzierżawców, wstrzymano i zawieszono bieg terminów sądowych i administracyjnych. Znaczenie tych aktów ze stanowiska dnia dzisiejszego wydaje się wątpliwe. Restytucja własności staje się niemożliwa, gdy przedmiot własności przestał istnieć albo doznał gruntownych przekształceń, zmieniających jego wartość, istotę lub przeznaczenie; może się stać niecelowa, gdyby zwrot przedmiotu własności jego przedwojennemu właścicielowi byłby połączony ze szkodą dla interesów gospodarki narodowej. Jeżeli gospodarkę tę zamierzamy oprzeć w przyszłości na zasadzie planowania, to musimy zdać sobie sprawę z tego, że uruchomienie wielu przedwojennych warsztatów wytwórczych, obecnie nieczynnych, nie da się pomieścić w ramach ogólnego planu gospodarczego. Plan ten bowiem musi wytwórczość dostosować do potrzeb, nie może dopuścić do produkcji, nieuzasadnionej potrzebami rynku. Zajdzie więc nieraz zapewne konieczność przestawienia przedwojennych warsztatów wytwórczych na inne dziedziny produkcji, komasacji tych warsztatów, uruchomienia innych na ich miejsce. We wszystkich tych wypadkach domniemywać się należy jedynie prawa właściciela do odszkodowania,jakkolwiek dekret przepisów w tym względzie nie zawiera i nie stanowi, kto, kiedy i na jakich zasadach będzie odszkodowanie to płacił. Wprowadzenie innym dekretem moratoriun dla długów prywatno-prawnych jest właściwie fikcją, gdy tam, w kraju, prowadzi się egzekucje sądowe i zapadają prawomocne wyroki, nakazujące ściągnięcie wierzytelności. Wprawdzie wyroki te, nawet wydane przez sądy polskie, są wyrokami, wydanymi w systemie okupacyjnym, nie mamy zatem ani prawnego ani moralnego obowiązku respektowania ich w przyszłości. Lecz i tu restitutio ad integrum, a nawet uzyskanie odszkodowania będzie niemożliwe, gdy dochodzenie zwrotu zapłaconych lub ściągniętych wierzytelności stanie się bezprzedmiotowe wskutek np. braku lub niewypłacalności pozwanego. Zawieszenie biegu terminów wreszcie jest bez praktycznej wartości, gdy w kraju one biegną, gdy dokonywa się w terminach tych czynności prawnych, często nieodwołalnych, gdy orzeczenia sądowe nie uwzględniają zawieszenia, a powstawanie i wygasanie roszczeń odbywa się w ramach normalnego biegu terminów. Wzruszanie tego wszystkiego w przyszłości byłoby równoznaczne z próbą cofnięcia wstecz zdarzeń i czasu.

Tych parę przykładów świadczy, że nastawienie nasze

w stosunku do rzeczywistości krajowej opierało sie w początkach wojny na założeniach nieraz błędnych; nie zdaje się, aby założenia te uległy obecnie zasadniczym zmianom. Nie ma w tym nic dziwnego. W projektach, skreślających nasz stosunek do zagadnienia okupacji i okresu po jej zniesieniu odgrywają dużą rolę momenty emocjonalne; na przeszkodzie rzeczowości rozważań stoi poczucie wyrządzonej krwawej krzywdy.

Mamy obowiązek myślenia o przyszłości, o tym, jak w chwili wyzwolenia kraju spod przemocy najeźdźcy uchronić kraj ten od nowych wstrząsów, chaosu i dezorganizacji życia politycznego i gospodarczego, jak zorganizować to życie, aby Narodowi dać odetchnąć pełną piersią, aby mu zapewnić jak najszersze możliwości rozwoju i ekspansji, aby w organizacji tego przyszłego życia dać wyraz pierwiastkom nowych koncepcyj ustrojowych, których mgławice kształtują się w ogniu wojny. Ale za punkt wyjścia do prac w tym zakresie powinniśmy brać stan rzeczy obecny, stan, obowiązujący w chwili opracowywania zagadnienia oraz oceniać należycie skutki tego stanu rzeczy. Dopiero wówczas możemy projektować zmiany, zmierzające do oparcia organizacji na nowych podstawach, do naprawy krzywd i odbudowy ruin. Nakłada to na nas, a zwłaszcza na osoby, pracujące w tzw. przemyśle referatowym, obowiązek gruntownego poznania prawodawstwa okupacyjnego, przemyślenia jego konsekwencyj, poznania układu stosunków faktycznych w ramach tego prawodawstwa a nadto uświadomienia sobie metod i sposobów działania okupanta oraz stopnia, w jakim zdołał przeorać poszczególne dziedziny życia. Dopiero wówczas będziemy wiedzieli, co znieść, co zmienić, co wreszcie utrzymać. Wrzesień 1939r. należy do niepowrotnej już przeszłości.

I jeszcze jedno. Okupanci omotali kraj powikłaną siecią przepisów, wprowadzających tak daleko posuniętą reglamentację wszystkich dziedzin życia, o jakiej przed wojną nie mieliśmy pojęcia. Nie ma swobody wyboru lub zmiany pracy, swobody poruszania się, swobody uprawiania przemysłu lub handlu. Inicjatywę jednostki zastąpiono wszędzie inicjatywą państwa. Wywłaszczenia, konfiskaty i zajęcia stosuje się w rozmiarach, nie spotykanych dotąd w historii. Nie ma prawa własności — istnieje tylko co najwyżej prekaryjne, organiczone, bez jutra, prawo użytkowania właściciela na swoim majątku. A ponadto tępienie wszelkich przejawów życia narodowego, poniewieranie godności człowieka, terror i prześladowania, systematyczne wyniszczanie narodu. Wszystko to wywołać musiało głębokie przekształcenia nie tylko w strukturze społecznej i gospodarczej kraju, lecz również spowodować nieznane nam bliżej reakcje w psychice społeczeństwa. Nie mając bezpośredniego kontaktu z nastrojami mas w kraju, nie możemy się wżyć w procesy przekształceń jego myślenia zbiorowego, wczuć się w istotę jego przemian duchowych, w nurt nowych światopoglądów, które tam powstają. To co wiemy, to są tylko strzępy. Żyjemy w oderwaniu od rodzimej gleby, w środowisku obcej kultury. Nie przeszliśmy przez piekło terroru, podziemia konspiracji, głód i nędzę. Nakazuje to nam ostrożność w projektowaniu. K.

Józef Winiewicz

Wyścig ze śmiercią

W KSIĄŻCE czołowego hitlerowskiego pisarza Hansa Johsta, opisującej przesiedlanie ludności niemieckiej z Wołynia i Stanisławowskiego do Wielkopolski, znajdujemy rozmowę autora tego reportażu z młodą dziewczyną, która oczekuje przyjścia na świat dziecka — dziecka nieślubnego. Pana Johsta cieszy to, że nie ma ona przeciw temu żadnych oporów wewnętrznych i wątpliwości moralnych. Pan Johst rozwija na tym tle szeroko cąłą doktrynę populacyjną Niemiec współczesnych, w której rodzenie dzieci nie jest niczym związane z zagadnieniem zakładania ogniska rodzinnego, w której tworzenie nowego życia nie jest żadnym problemem miłości czy trwałego związku dwojga kochających się ludzi, a tylko jedynie hodowlanym obowiązkiem wobec niemieckiego narodu, obowiązkiem podobnym do konieczności odbywania służby wojskowej i płacenia podatków. Cytuje przy tym pełne brzmienie rozkazu Himmlera do wszystkich żołnierzy S.S. i do policji, który mowi:

> "Poza granice nieraz może i koniecznych ustaw oraz zwyczajów kobiety i dziewczęta niemieckie powinny uważać za swoje wielkie zadanie stawać się matkami nieślubnych dzieci żołnierzy, idących na wojnę — nie z lekkomyślności, lecz w głębokim odczuciu moralnej powagi tego zagadnienia. Mężowie S.S. i wy matki tych oczekiwanych przez Niemcy dzieci pokażcie, że z wiary w Führera i z wolą, aby nasz naród trwał wiecznie, tworzycie dla Niemiec nowe życie, tworzycie tak, jak umiecie walczyć i umierać".

W grudniu 1939 roku zastępca Führera Rudolf Hess polecił całej prasie niemieckiej opublikować tekst swego listu do pewnej matki nieślubnego dziecka:

> "Właśnie w czasie wojny, która wymaga śmierci wielu najlepszych mężów, każde nowe życie ma tak wielkie znaczenie. Jeżeli więc rasowo czyści, młodzi mężczyźni, którzy idą na front, pozostawiają dzieci, urodzone przez dziedzicznie zdrowe, odpowiednie wiekiem dziewczyny, z którymi z jakiegoś względu nie mogą zawrzeć ślubu, to trzeba troskać się o utrzymanie tego wartościowego narodowego dobra. . . . . Takim to dzieciom,o ile w międzyczasie nie nastąpił ślub, urzędy stanu cywilnego mają do rejestru ludności wpisywać na miejscu nazwiska ojca określenie: "Kriegsvater". Matki, zatrzymując panieńskie nazwisko, mają być tytułowane i określane jako: pani (Frau). Mają one z niezmieszanym spojrzeniem odpowiadać, że ojcem ich dziecka jest "Kriegsvater". "

Zakończenie listu ustala rodziców matki, jako zobowiązanych do utrzymywania dziecka. Ojciec nie ma żadnych obowiązków w tym zakresie — odegrał wobec narodu niemieckiego rolę reproduktora i nikt innych pretensji do niego mieć nie może. W wypadkach koniecznych utrzymywaniem i wychowaniem dziecka zajmuje się państwo; obowiązek czuwania nad "czystością" hitlerowskiego wychowania mają mężowie zaufania partii narodowo-socjalistycznej.

Wszystkie te zarządzenia nie mają nic wspólnego z aspektami moralnymi. Ani Himmler, ani Hess, ani Johst nie mogą uchodzić za społecznych reformatorów, których interesuje problem dzieci nieślubnych i którzy szukają nowych rozwiązań, niezgodnych z panującymi w tym zakresie może i wielu uprzedzeniami. Komunizm i rozwijający się w jego cieniu ruch bezbożniczy propagowały swobodę obyczajów dla w y g o d y j e d n o s t k i. Wyzwolenie pierwotnych instynktów człowieka z więzów tradycji rodzinnej i pojęć, uznanych przez kulturę zachodnio-europejską, miało służyć wolności wyżywania się w kierunku dla społeczeństwa zupełnie obojętnym. Hitleryzm uwalnia pierwotny instynkt człowieka z zasad religii i sakralnych pojęć o znaczeniu rodziny, aby p r z e z w y g o d ę j e d n o s t k i zabezpieczać biologiczny r o z w ó j n a r o d u. Nie po raz pierwszy w historii hitleryzmu cel ma w ten sposób uświęcić stosowane środki. Gdy w 1922 roku bojówki hitlerowskie urządziły swój dziewiczy publiczny występ w Koburgu, gdy grzmociły pałami po głowach przeciwników politycznych, wiadomym już było, że do głosu dochodzi ruch polityczny, które zechce roznamiętniać najniższe instynkty mas niemieckich dla zdobycia i utrzymywania władzy. Te zwierzęce skłonności grają w postępowaniu elity partyjnej S.S. przy znęcaniu się nad więźniami obozów koncentracyjnych; na najniższym instynkcie niszczenia przeciwnika — narodu polskiego — próbuje budować przyszłość Niemiec Hans Frank, obok wielu oficjalnych swych funkcji także — prezes niemieckiej Akademii Prawa oraz kodyfikator nowego niemieckiego prawa cywilnego i karnego.

I już nie potrzeba się niczemu dziwić. Ani tej konferencji sierpniowej u Hitlera, na której — według prasy szwedzkiej — dyskutowano zakładanie "grup rozpłodowych" S.A. i S.S. nazwanych "Reinrasse-Gruppen", ani stręczycielskim anonsom w "Schwarze-Korps", ani przekonywaniu czytelników na łamach tego samego pisma, że Niemka nie tyle jest zobowiązana do wierności wobec męża na froncie, ile do starania się o przyrost naturalny. Nie można też dziwić się dyskusjom na łamach fachowych pism medycznych nad możliwościami rodzenia dzieci przez pacjentki szpitali gruźliczych, ani nawet wnioskom tych dyskusyj, opublikowanym w prasie codziennej i stwierdzającym, że i ta "rezerwa hodowlana" musi być w pełni wyzyskana dla dobra Niemiec. Na tle tego obrazu wydaje się więc zupełnie prawdopodobną wiadomość "Catholic Herald", że w Badenii chodzą ulicami młode dziewczyny z opaskami na ramieniu, na których wybite są litery: "I.b.b." — "ich bin befruchtet", że te trzy literki mają uchodzić za rodzaj socjalnego wyróżnienia.

Skutki tych metod w dziedzinie moralnej będą na pewno przerażające. Skutek zaś populacyjny więcej niż wątpliwy — rozluźnienie przecież więzów moralnych nigdy nie wzmaga ani przyrostu naturalnego, ani tężyzny fizycznej narodu. Dekadencja moralna, zauważona przez wszystkich uważnych obserwatorów stosunków niemieckich, musi jeszcze pogłębić dekadencję populacyjną, która istnieje już od dawna.

Dr Friedrich Burgdörfer, dyrektor Urzędu Statystycznego Rzeszy, jest od wielu lat puszczykiem przyszłości ludnościowej Niemiec. Puszczykiem przez nikogo dotąd nie spłoszonym. Nawet wtedy (jak na przykład 30 stycznia bieżącego roku w rocznicę objęcia władzy przez Hitlera), gdy ma optymistycznie bilansować wyniki niemieckiej polityki populacyjnej, ton jego rozważań jest właściwie ponury. Zresztą podobnie, jak on, liczą i inni. Od 1910 roku niemiecki przyrost naturalny systematycznie maleje. Naturalny proces tego rozwoju przyspieszyła gwałtownie pierwsza wojna światowa, kiedy to ilość mieszkańców Rzeszy zmalała w ciągu czterech lat o blisko 3 miliony ludzi. Po 1918 roku spadek stał się więc jeszcze gwałtowniejszy. Burgdörfer ustalił, że w ostatnich dwudziestu latach zabrakło w Niemczech około 9 milionów nowych istnień, aby liczba członków narodu niemieckiego mogła w dalszym ciągu wzrastać a nie maleć. W 1935 roku obliczył on, że gdyby te braki miały być wyrównane, musiałoby się w latach od 1935–1943 rodzić rocznie w Niemczech 1,930,000 dzieci. Tymczasem od 1933 do 1939 przeciętna rocznych urodzeń w Niemczech nie przekroczyła nawet 1,400,000. Mimo premii dla licznych rodzin, mimo medali dla matek licznego potomstwa, mimo pożyczek dla nowożeńców i wydania na te cele od 1933 roku przeszło 4 miliardów marek ze skarbu państwa.

Rozwój ludnościowy a raczej uwiąd populacyjny Niemiec toczy się nadal po równi pochyłej ku etapom, przewidzianym przez statystyków niemieckich. W 1975 ma być — 60 milionów Niemców, w 2,000–47 milionów Niemców, a w 2050 już tylko 25 milionów Niemców. W drugiej połowie obecnego wieku statystycy niemieccy obawiają się takiego zmniejszenia się ilości ludności, że może wtedy zabraknąć w Niemczech aż 15 milionów par rąk do pracy. Burgdörfer alarmował już dotąd kilka razy, że wtedy trzeba będzie granice niemieckie otworzyć szeroko dla masowej imigracji sił roboczych.

Wszystkie te obliczenia były ustalane przed obecną wojną. Już przed obecną wojną okazało się więc, że cały wysiłek polityki populacyjnej Hitlera nie zdołał powstrzymać procesu uwiądu starczego narodu niemieckiego, że bieżąca nadwyżka urodzeń nad zgonami nie zdołała na tyle wyrównać starzenia się organizmu ludnościowego Rzeszy, aby kiedyś (około 1970), gdy obecnie młode roczniki się zestarzeją, nie nadszedł moment absolutnej przewyżki zgonów nad urodzinami. Straty wojenne Niemiec cały ten rachunek jeszcze pogorszą. Jest rzeczą charakterystyczną, że Urząd Statystyczny Rzeszy nie uwzględnia teraz w statystyce zgonów ilości poległych i zmarłych żołnierzy, choć oficjalnie do 1 czerwca 1941 wykazują tylko 217,649 zabitych i ciężko rannych w kampaniach polskiej, francuskiej, norweskiej i greckiej. A mimo to ujawniony procent śmiertelności w porównaniu z rokiem 1939 wzrósł bardzo znacznie, gdyż w tej wielkości uzewnętrzniły się już wyraźnie straty ludności cywilnej, wywołane działaniami lotniczymi oraz pogorszeniem się warunków życia. Od roku 1940 — po sześciu latach względnej poprawy — spadła znowu bardzo gwałtownie cyfra urodzeń. A co będzie, gdy w statystyce zaczną odzwierciedlać się straty obecnej wojny? Przedsmak tego mają Niemcy w stanie finansów "Deutsche Beamten-Versicherung", która prowadzi obowiązkowe ubezpieczenia na życie zawodowej kadry armii i marynarki niemieckiej. Wspomniany zakład ubezpieczeń wypłacił w roku 1940 o 100 proc. więcej pieniędzy rodzinom swych zmarłych względnie poległych ubezpieczonych, niż w roku 1939. Musiano przy tym naruszyć poważne rezerwy finansowe instytucji, której z tego powodu w najbliższym czasie wróżą załamanie.

Kierownicy Trzeciej Rzeszy to oczywiście widzą. Brną więc coraz głębiej po linii przeprowadzania najbardziej skrajnych prób zamieniania społeczeństwa niemieckiego w rozpłodowe stado owiec. Ściągnięcie masy Niemców ze wschodu, obok celu etnicznego opanowania polskich terenów, miało między innymi także na myśli zasilenie zdolności biologicznego rozwoju narodu niemieckiego. Próba zresztą w dużej mierze poroniona, bo najbardziej politycznie i kulturalnie wyrobiony element Niemców bałtyckich, nie przedstawia żadnej siły populacyjnej. W Estonii na jedno nowonarodzone dziecko niemieckie przypadały przed wojną 3 wypadki zgonów. Na pięciu wymierających Niemców łotewskich przypadały tylko 3 wypadki urodzin. Na Litwie sytuacja wśród mniejszości niemieckiej była podobna. Naród niemiecki prowadzi wyraźny wyścig ze śmiercią. Naród niemiecki starzeje się.

Trzeba nieprzytomnej buty Hitlera, aby w tych warunkach staczać na barki narodu słabnącego biologicznie ciężar od powiedzialności za losy całej Europy. Trzeba nieprzytomnej bezczelności Goebbelsa i pseudonaukowych geopolityków niemieckich, aby mówić o — Volk ohne Raum, kiedy Niemcy są na najlepszej drodze stania się — Raum ohne Volk. I nie potrzeba wobec tego nieubłaganego dla Niemiec prawa śmierci bać się o przyszłość narodów fizycznie młodych, które do obecnej rozgrywki weszły z takim zapasem sił populacyjnych, że nie złamie ich czereda oprawców Himmlera. Byle by narody te potrafiły uratować z zamętu wojny swe zdrowie moralne.

Józef Winiewicz.

Najlepsza często propaganda

NIE lubimy nazywać się "emigracją" — słusznie, bo nie jest to określenie ścisłe. Wprawdzie poza emigracją o charakterze społeczno — zarobkowym, emigracją "dla chleba" — istnieje też pojęcie emigracji politycznej, którego najwybitniejszym z naszych dziejów przykładem jest tzw. Wielka Emigracja po powstaniu lat 1830–31. Członkami tej emigracji byli jednak ludzie, którzy utracili własne państwo, zniszczone przez zaborców. Gorzej — ten stan rzeczy zaaprobowany został przez ówczesne rządy europejskie; najbardziej znanym tej aprobaty wyrazem stały się haniebne słowa ministra Sebastiani' ego: "L'ordre règne à Varsovie."

Sytuacja nasza jest inna. Jesteśmy jednym z narodów sprzymierzonych w walce z agresją niemiecką, którego terytorium zostało chwilowo tylko, jak wszyscy wierzymy — obsadzone przez wroga. Mamy organy władzy państwowej i armię. Istnienie państwa polskiego, jego legalnych władz oraz współwalczących u boku sprzymierzeńców polskich sił zbrojnych uznawane jest nadal przez wszystkie inne podmioty prawa międzynarodowego z wyjątkiem jedynie krajów nieprzyjacielskich oraz pozostających pod ich naciskiem.

Są jednak oczywiście i duże zbieżności z dawniejszymi naszymi emigracjami politycznymi. Najważniejszą z nich jest sam fakt przebywania wśród obcych społeczeństw znacznej liczby Polaków, z wielką przy tym przewagą przedstawicieli

inteligencji i wojskowych. Ilość tych Polaków na terenie samych tylko wysp brytyjskich przekracza liczebność Wielkiej Emigracji z pierwszej połowy XIX wieku.

Drugą zbieżność stanowi zrozumiała zresztą okoliczność, że podobnie, jak wówczas, tak i teraz gros Polaków znajduje się w kraju, od którego polityki zależny jest w wielkiej mierze los całej Europy i los sprawy polskiej; wówczas krajem tym była Francja, obecnie jest nim Wielka Brytania. Różnica polega na tym, że Francja pierwszej połowy XIX w., wyczerpana wojnami napoleońskimi, włączona do mechanizmu Świętego Przymierza i wstrząsana ciągłymi walkami wewnętrznymi, puściła w niepamięć dewizę Napoleona, skreśloną na wyspie św. Heleny, o Polsce jako "zworniku sklepienia europejskiego;" dewizę będącą zarazem tragicznym ostrzeżeniem. My natomiast, jeśli zdobędziemy się na odpowiedni wysiłek myśli i działania politycznego mamy — mimo wszystkich piętrzących się trudności i wrogich nam wpływów — możność pozyskania polityków brytyjskich i amerykańskich dla koncepcji Polski naprawdę silnej, stanowiącej najważniejszy może czynnik równowagi politycznej i moralnej na Kontynencie europejskim.

Powiedzmy więcej: możność i obowiązek wykonania największej w tym kierunku pracy stanowi główną, a dla Polaków cywilnych wyłączną legitymację pobytu naszego na obczyźnie. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę zawsze — każdego dnia i każdej godziny.

* * *

Nie chodzi nam jednak w tej chwili o działalność polityczną w ścisłym tego słowa znaczeniu — działalność prowadzoną przez powołane do tego czynniki: władze państwowe, stronnictwa polityczne, organy tzw. propagandy. Chodzi o dziedzinę pozornie skromniejszą, lecz w rzeczywistości również bardzo ważną; o całą sferę codziennego współżycia naszego z ludnością miejscową, o wyobrażenie, jakie o Polsce i Polakach kształtuje się w wyniku naszego zachowania się i całej naszej postawy w umysłach społeczeństwa, wśród którego żyjemy.

Byłoby wielkim grzechem dziedzinę tę lekceważyć. Wytworzenie wśród obcych możliwie najkorzystniejszej o swym narodzie opinii nie jest tylko zaspokojeniem godności i ambicji narodowej; jest to zarazem, mimo całej swej niewymierności, kapitał polityczny równie ważny, jak armia, jak umiejętne posunięcia dyplomatyczne, jak śmiałe i konsekwentnie urzeczywistniane koncepcje polityczne.

Wielka Emigracja — mimo wszystkich ujemnych objawów jej życia, mimo, że były w jej szeregach i jednostki moralnie mniej wartościowe, — pozostawiła po sobie bezcenne dziedzictwo: wyżłobiła w umysłach społeczeństw obcych, w szczególności we Francji, mit Polski jako narodu, reprezentującego wysokie wartości moralne i cywilizacyjne. Zdawać by się mogło, że mit ten ulegnie zagładzie w atmosferze materializmu i pozytywizmu, jaka zapanowała w Europie i na świecie zwłaszcza od połowy XIX wieku. A jednak siła tych imponderabiliów, choć słabnąca stopniowo, przetrwała lat kilkadziesiąt i zaważyła przy odradzaniu się państwa polskiego na równi z argumentami etnograficznymi czy historycznymi. Zaważyła tu nietyle wielka, Francuzom jednak mało znana, twórczość pisarska Mickiewicza czy Słowackiego, lecz w wyższym jeszcze stopniu codzienne obcowanie emigrantów polskich z miejscowym społeczeństwem.

Było tak zresztą nie tylko we Francji. Rzeczą jest niezmiernie ciekawą czytać z tego punktu widzenia pamiętniki i wspomnienia wielu pisarzy i polityków francuskich, brytyjskich, amerykańskich, włoskich czy węgierskich, którzy pisząc o swej młodości wspominają często o Polsce jako przedmiocie swych najpiękniejszych wzruszeń i porywów — przy czym okazuje się zwykle, że u źródła tych odczuwań stała znajomość z tym czy innym emigrantem polskim, jakieś przysypane już pyłem czasu rodzinne tradycje i pamiątki.

Wartość tego kapitału tradycyj i uczuć oceniła trzeźwo wroga nam publicystyka niemiecka zaraz po zakończeniu Pierwszej Wojny Światowej i odbudowie Państwa Polskiego. Niemieccy pisarze polityczni wysunęli tezę — rozwiniętą poźniej szeroko przez Hitlera w jego "Mein Kampf" —, że główną przyczyną klęski Niemiec w r. 1918 była doskonale postawiona propaganda aliantów przy równoczesnej zupełnej w tej dziedzinie nieudolności ze strony tzw. mocarstw centralnych. Uzupełnieniem tej tezy stało się twierdzenie, że ze swej strony Polacy umieli przeprowadzić w państwach zachodnich nader umiejętną działalność agitacyjną na rzecz swej sprawy. "Nie należy przypuszczać — pisał jeden z publicystów niemieckich, — że najbardziej nawet realistyczny mąż stanu w posunięciach swych wolny jest od wpływu swej sfery uczuciowej, swych wspomnień i sympatyj. Niewątpliwie główną przyczyną pomocy, jakiej Ententa udzieliła w odbudowaniu państwa polskiego, była chęć osłabienia i trwałego skrępowania Niemiec. Z drugiej jednak strony politycy polscy w Paryżu mieli łatwy dostęp do umysłów Clemenceau, Poincaré'go czy Pichona, ponieważ młodość tych ludzi owiana była jeszcze romantyczną dziewiętnastowieczną egzaltacją dla sprawy polskiej. Także tradycje Kościuszki i Pułaskiego odegrały niewątpliwie pewną rolę w niezrozumiałym wpływie, jaki Paderewski i Dmowski wywierali na Prezydenta Wilsona."

Stwierdzenia te są ciekawe — i niewątpliwie w znacznej mierze słuszne. Niesłuszne są tylko w jednyn punkcie: mianowicie co do rzekomej niemieckiej bierności i nieudolności w zakresie "kontrakcji," przynajmniej w stosunku do Polski. Niemcy bowiem — jak o tym już szerzej pisała "Myśl Polska" w poprzednim swym zeszycie — zrobiły w ciągu ostatnich lat 150 wszystko, stosując środki najbardziej niegodziwe, by naród polski zdegradować, pomniejszyć i zohydzić w oczach świata. Jeśli im się to udało tylko w części, to dlatego, że wielu spośród tych kłamstw przeczyła rzeczywistość, której bezpośrednimi orędownikami i wyrazicielami w krajach Zachodu byli w dużym stopniu właśnie emigranci polscy. Gdy ich nie stało — w takiej np. Anglii — zrozumienie sprawy polskiej uległo od razu zaćmieniu.

W wojnie obecnej Polska znalazła się w korzystniejszych niż w wieku XIX warunkach o tyle, że ma potężnych współwalczących z nią sprzymierzeńców — natomiast kapitał ideowych i emocjonalnych sympatyj dla niej jest wśród społeczeństw obcych niestety mniejszy niż wówczas. Złożył się na to szereg przyczyn. Zamilkły ostatnie echa "wiosny ludów" i okresu emancypacji budzących się młodych nacjonalizmów. Klimat duchowy Europy w większym jeszcze stopniu uległ nasyceniu pierwiastkami materializmu; wyrazem tego stanu rzeczy jest fakt, że nawet te prądy, które miały być reakcją przeciw materialistycznemu pojmowaniu dziejów i jego praktycznym zastosowaniom (jak przede wszystkim hitleryzm) stanowią w gruncie rzeczy jego końcową emanację i choć zdołały sfanatyzować swych wyznawców — są niewątpliwie zaprzeczeniem najgłębszych duchowych pierwiastków naszej cywilizacji. Poszanowanie, w zasadzie przynajmniej, indywidualności wszystkich narodów — nie wyłączając małych i średnich — ustąpiło miejsca nowym brutalnym koncepcjom imperialistycznym; góruje dzisiaj — i to nie tylko w Niemczech — myślenie kategoriami wielkich obszarów gospodarczo- politycznych (Grossraume) i wielkich potencjałów militarnych. Małostkowość i kłótliwość, jaką wykazało wiele narodów Europy środkowo-wschodniej, brak ich zdolności do zharmonizowanego współżycia, przyczyniły się również do podkopania zasady poszanowania indywidualności narodowych, która była podstawą układów pokojowych po Pierwszej Wojnie Światowej — choć trzeba stwierdzić, że szereg wielkich mocarstw zachował się nielepiej, lub gorzej nawet, jeśli weźmiemy pod uwagę większą odpowiedzialność i większe możliwości, jakie były ich udziałem.

Polska w polityce swej popełniła także wiele poważnych błędów. Zaszkodziły nam one i szkodzą nadal w większej mierze, niż to początkowo mogło się wydawać, choć okupiliśmy je prymatem krwi naszej w walce z nawałą niemiecką, a poprzednio jeszcze wielkim dorobkiem dwudziestolecia odzyskanej niepodległości, dorobkiem we wszystkich niemal dziedzinach życia zbiorowego. Niemniej w warunkach i atmosferze, jaką wyżej po krótce scharakteryzowaliśmy, wywalczenie dla narodu polskiego odpowiedniego miejsca w umysłowości społeczeństw anglosaskich, które po zwycięskiej wojnie będą z natury rzeczy odgrywały przemożną rolę w nowym urządzeniu świata, wymagać będzie wysiłków ogromnych.

Jest to oczywiście przede wszystkim dziedzina żołnierzy, polityków, pisarzy i myślicieli, którym nie wolno płynąć łatwo i bezkrytycznie z prądem cudzych pomysłów i sugestyj, ale którzy równocześnie wystrzegać się muszą utknięcia w starych nałogach i nawykach, w tym, co Dmowski nazwał "talmudyzmem myślenia."

Jednak dziedzina kształtowania w obcych społeczeństwach, społeczeństwach zwłaszcza anglosaskich, należytych sądów i wyobrażeń o narodzie polskim i przyszłej jego w Europie pozycji, należy także do wszystkich przebywających na obczyźnie Polaków. Trzeba tu przy tym pamiętać, że najlepszą propagandą bywa często dodatnie wrażenie, jakie się wywiera własną swą osobowością, własnym swym przepojonym polskością człowieczeństwem. (x)

Horyzont wojenny

Londyn, 15 grudnia, 1941.

Musimy stale pamiętać, że Niemcy zaczęły tę wojnę, Niemcy stworzyły jej filozofię: świat ma należeć do silniejszego i stworzyły doktrynę polityczną i wojskową dla jej prowadzenia.

ZA WYSTĄPIENIEM JAPONII KRYJĄ SIĘ NIEMCY.

Niemcy w dalszym ciągu i nieomalże za wszelką cenę chcą utrzymać inicjatywę dalszego jej prowadzenia. Jak słusznie zaznaczył premier Churchill, Niemcy opracowały w porozumieniu ze wspólnikami wspólny plan jej prowadzenia na całym świecie. Wejście obecne Japonii do wojny musimy uważać przede wszystkim za jedno z **niemieckich** posunięć na szachownicy prowadzenia tej wojny. Cel niemiecki jest jasny. Związanie się wojną z Sowietami, a szczególnie wysiłek jakiego ta wojna wymagała od Niemiec, ograniczyły ich możność inicjatywy strategicznej. Równocześnie na horyzoncie pojawił się nowy przeciwnik — Ameryka, która metodycznie i stanowczo zbliżała się do wzięcia aktywnego udziału w wojnie. Pierwszym zatem celem Niemiec było — przez wprowadzenie Japonii do wojny związać Amerykę na Dalekim Wschodzie i w ten sposób ograniczyć jej pomoc dla broniących się narodów europejskich. Za tym bezprzecznie najważniejszym powodem kryją się inne; przede wszystkim wprowadzenie w grę Japonii nie stwarza żadnego dodatkowego ryzyka dla Niemiec. Niepowodzenia Japonii traktowaliby oni w skali swego planu prowadzenia wojny jako ostatnie posunięcie, które pozostawało im do dyspozycji dla uratowania się przed katastrofą. Średnie powodzenia Japończyków pozwoliłyby Niemcom na wszczęcie upragnionej gry pokojowej. Na wypadek zaś nadzwyczajnych powodzeń japońskich Niemcy mogliby zaproponować nawet swą pomoc zbrojną państwom anglosaskim. Perfidia bowiem gry politycznej Niemiec dotyczy w równym stopniu ich wrogów, jak i przyjaciół. Charakteryzuje to najlepiej stosunek Niemiec do Włoch. Przykładem usiłowania bezgranicznej zdrady z ich strony w stosunku do quasi-sojusznika była również próba wciągnięcia Anglii do "wojny krzyżowej" z Sowietami. Rozumiemy zatem jasno rolę Japonii jako narzędzia w rękach Niemiec, nie mniej bardzo ciekawe jest, jak ta sprawa wygląda z punktu widzenia Japonii i dlaczego Japonia właśnie teraz sama rozpoczęła tę wojnę.

PRÓBA ANALIZY STANOWISKA JAPONII.

Musimy sobie przypomnieć co to jest dzisiejsza Japonia. Obecny ustrój Japonii można zakwalifikować jako autokrację wojskową — z tym ważnym podkreśleniem, że rząd, wojsko i marynarka, które wspólnie tworzą egzekutywę kraju, każde z osobna są odpowiedzialne przed cesarzem. Sam cesarz uważany jest za boga —bez władzy politycznej. Każdy z wymienionych organów wycofując swych przedstawicieli z całości automatycznie ją obala. Japonia w chwili obecnej nie wyszła jeszcze całkowicie z feudalizmu. Instytucje parlamentarne były organami służącymi klikom rządzącym do mydlenia oczu Zachodowi. Lud japoński nie ma żadnych praw politycznych, system policyjny dawniejszy od Gestapo, Gepeu i Ovra w niczym im nie ustępuje. Potężny przemysł i finansjera hołdują w tym stopniu liberalizmowi gospodarczemu, o ile to sprzyja imperializmowi przemysłowemu Japonii. Sfery rządzące Japonii były, i to od dawna, najbardziej oddanym uczniem Niemiec. Z uśmiechem i fałszem kraj Wschodzącego Słońca przyjmował z Zachodu przede wszystkim to, co tam było materialistyczne, a więc dla rozwoju kultury najgorsze.

Dlaczego zatem Japonia weszła **teraz** do wojny?

Uwzględniając jej predyspozycję co do samej zasady, moglibyśmy to określić ogólnie następująco. Politycznie: w razie klęski Niemiec skonsolidowanie się na Pacyfiku frontu jedności ABCD (Ameryka, W. Brytania, Chiny, Holandia) i sformułowanie przez Amerykę tez tego frontu, polegających na żądaniu od Japonii odstąpienia od jej polityki i od programu azjatyckiego New Order — t.j. hegemonii japońskiej i zupełnego wykluczenia z Dalekiego Wschodu wpływów rasy białej — musiało by doprowadzić do kapitulacji politycznej Japonii bez wojny.

Ekonomicznie: zastosowane w lipcu 1941 roku embargo i zamrożenie avoirów japońskich już od sześciu miesięcy pogarszały położenie ekonomiczne Japonii, ograniczając nie tylko możność tworzenia dalszych zapasów surowców i rozwijania potencjału wojennego, ale w pewnym stopniu zmuszając ją do spożywania nagromadzonych już zasobów. I ten więc powód uważać musimy za jeden z głównych.

Strategicznie: należało uderzyć przed wyczerpaniem lub klęską Niemiec, a w każdym razie przed osiągnięciem absolutnej przewagi przez front ABCD, czyli wtedy, gdy jeszcze była możność wstępnego zaskoczenia przeciwnika. Musimy tu, nawiasem, przyznać, że do tego ostatniego Japończycy zabrali się świetnie. Całą grę przeprowadzili z Ameryką, z Churchillem nawet nie próbowali. Admirałowie Namura i Kurusu prowadzili tę grę, jak ludzie bez twarzy. Gdy japońskie lotniskowce od tygodni zajmowały stanowiska wypadowe, widzieliśmy w ostatnich "newsach" uśmiechnięte twarze obu tych panów i słyszeliśmy słowa p. Kurusu: "Misja moja jest bardzo trudna, ale wierzę, że jest do wykonania". Istotnie p. Kurusu misję swoją wykonał świetnie, ale w innym rozumieniu, niż Amerykanie to przyjmowali. W tym czasie Churchill posyłał swe najlepsze okręty do Singapore, oddziały kanadyjskie i szkockie do Hongkongu i Malai. Ze względu na stanowisko Churchilla pozostawał Japonii już tylko jeden przeciwnik do strategicznego zaskoczenia. Wielka Brytania i Holendrzy pilnowali się zbyt dobrze. Należało zatem i z tego powodu się śpieszyć, by i ten ostatni już niewierny Tomasz wreszcie nie przejrzał na czas. Dlatego też Japończycy tak niesławnie wskrzesili tradycję swego zdradzieckiego ataku torpedowego na flotę rosyjską w Port Artur w 1904 roku, wykonanego również bez wypowiedzenia wojny.

Wszystkie zatem czynniki: polityczny, ekonomiczny i strategiczny z punktu widzenia Japonii — o ile chciała ona utrzymać bez zmiany swą dotychczasową politykę — przemawiały za natychmiastowym wejściem jej w wojnę. Możemy powiedzieć nawet więcej: wejście to w chwili obecnej było conajmniej o sześć miesięcy spóźnione. Sam sposób wejścia Japonii do wojny nie powinien był też nikogo zdziwić. Czegóż można oczekiwać od ludzi, których wyraźnym celem jest zburzenie dzisiejszego porządku świata bez względu na dorobek dwutysiącletniej ery chrześcijańskiej, ludzi, którzy przyjęli zasadę, że każdy środek jest dobry, o ile prowadzi do celu. W każdym jednak razie należy z tego wyciągnąć wnioski, iż wszystkiego można oczekiwać od naszych przeciwników! Dostosować też wreszcie do tego należy własne metody prowadzenia wojny i wykorzystać te zjawiska w pełni, by raz ostatecznie oświecić pacyfistów i utopistów w społeczeństwach zachodnich, że nie ma granic zbrodni u naszych przeciwników.

Patrząc zaś na ten nowy rozwój wypadków z punktu widzenia interesów Polski, a nawet ogólnych: prowadzenia wojny, podkreślić musimy, że ta ostatnia agresja winna wreszcie jasno uzmysłowić ostatnim bastionom wierzących, iż ta wojna toczy się o Gdańsk, — że tu istotnie chodzi nie o Gdańsk, że nigdy o Gdańsk nie chodziło, ale że jest to starcie się dwu kultur, którego wyniki zadecydują o przyszłem tysiącleciu narodów. Chcemy tu zaznaczyć, że widzimy w tym jedną z podstawowych

tez do prawdziwej akcji naszej propagandy, obawiamy się jednak jej tę tezę zalecać, gdyż w naszych stosunkach jak dotąd najczęściej szerzy się hasła obrony nie tego, co w naszej cywilizacji jest najlepsze, lecz tego co najgorsze.

STRATEGIA OGROMNYCH ODLEGŁOŚCI.

Na powyższym tle staje się jasne, że Japończycy chcieli zastosować na największą skalę przyjęte od Niemiec i uważnie studiowane w czasie tej wojny zasady totalnego jej prowadzenia. Jest jeszcze zawcześnie, by móc dokładnie przestudiować i przedstawić czytelnikowi położenie strategiczne obu stron walczących. Możemy w tej chwili jedynie podkreślić, że będzie to przede wszystkim wojna morska, a zatem wojna, w której bazy morskie i odległości odegrają zasadniczą rolę. Główne bazy japońskie, zresztą bardzo liczne, znajdują się na jej wyspach. Leżą one około 6 tysięcy kilometrów od wysp Hawajskich, około 4 tysiące kilometrów od Borneo, Malai i Sjamu, 3 tysiące kilometrów od centrum Filipin. Widzimy więc, że przy wyjątkowym znaczeniu, jakie mają bazy w wojnie morskiej, odległości te odegrają zasadniczą rolę i możemy w tej chwili przewidywać, iż będziemy świadkami walki obu stron przede wszystkim o poprawienie tej sytuacji. Z tego właśnie powodu Japończycy zajmowali Indochiny, z tego m.i. powodu poszli na Sjam, — by stworzyć sobie korzystniejsze podstawy dalszej walki. Strategia morska konfliktu Pacyfiku będzie zatem strategią walki o komunikacje.

W tej wojnie ogromnych odległości szczególną rolę odegrają też ruchome bazy lotnicze, t.j. lotniskowce. Już we wstępnych operacjach około 5 lotniskowców wzięło bardzo skuteczny udział. Szczególnie charakterystyczny był tu atak na Pearl Harbour na Hawajach, wykonany z niezwykłym powodzeniem i przy zupełnym zaskoczeniu. Japończycy mogą posiadać od ośmiu do dziesięciu lotniskowców. Trudno jest w tej chwili, przewidzieć, jaką rolę odegrają przy tych odległościach japońskie łodzie powodne, których jest ponad osiemdziesiąt. Ilość i wartość japońskich okrętów liniowych nie da się w tej chwili, bez ostatnich doświadczeń, szczegółowo określić. Ciekawą zwłaszcza będzie sprawa sprawności konstrukcyj i stosunku uzbrojenia do wydajności. Wydaje się, że Japończycy posiadają 10 okrętów liniowych w służbie czynnej, a cztery najnowocześniejsze w konstrukcji i na ukończeniu. Ponadto Japończycy posiadają bliżej nieznaną dokładnie, ale napewno wystarczającą ilość krążowników, w czym kilka konstrukcji odpowiadającej a nawet przewyższającej niemieckiego "Graf von Spee", oraz torpedowców i innych pomocniczych. okrętów.

Na tym tle operacje widzimy następująco. Okupacja francuskich Indochin i obecne zajęcie Sjamu, mają na celu przeskrzydlenie całego systemu obrony ABCD. Zajęcie nowych podstaw przez Japończyków daje im możność ataku skrzydłowego na Półwysep Malajski, i na Indje, a przede wszystkim perspektywę zlikwidowania wreszcie "Incydentu chińskiego". Szczególnie silnym wskutek tego będzie zagrożenie Burmy. i Zatoki Bengalskiej, z wyraźnym celem zdobycia tam wielkich instalacyj nafty i baz dla łodzi podwodnych. Te nowe podstawy pozwalają również Japończykom przeprowadzić bombardowania przemysłu wojennego brytyjskiego we wschodniej części Indyj. W razie zaś ataku na bazy ABCD na Pacyfiku liczyć się należy z dalszym rozwijaniem działań na Singapore i przeciw Filipinom. Dopiero po zrealizowaniu tych olbrzymich wstępnych operacyj, zależnych naturalnie od akcji i stosunku sił w niej obu stron, Japończycy przeszliby do wykorzystania powodzenia przeciwko Indjom Holenderskim i Australii.

Na sam przebieg konfliktu wpłynie zasadniczo stanowisko Sowietów. Ze swej strony dodamy, że wejście ich do akcji przeciw Japonii uważamy za konieczne, gdyż jedynie z terenu Sowietów w tej chwili można przeprowadzić skuteczną akcję bombardującą przeciwko bazom na Wyspach Japońskich. Samo wejście Sowietów do akcji w najlepszy czas winno być wspólnie określone wyłącznie z punktu widzenia największych korzyści dla obu stron sprzymierzonych t.j. Sowietów i Aliantów. Nie możemy nie doceniać też w pełni roli i znaczenia Chin. Tworzą one stałą groźbę dla zaplecza armii japońskiej i, w razie powodzenia na wybrzeżu, dla komunikacyj z wysuniętymi bazami japońskimi na południu: w Sjamie i Indochinach. W razie zaopatrzenia w nowoczesny sprzęt pancerny i lotnictwo Chiny mogą się stać jednym z decydujących czynników w rozegraniu konfliktu.

Rozważając zatem i reasumując położenie polityczno-strategiczne, tak jak ono się zarysowuje w tym konflikcie, należy przypomnieć i podkreślić dodatkowo: Japonia całą swą politykę i strategię ujawniła w roku 1895, kiedy zajęła Formozę. Od tego czasu Japonia konsekwentnie prowadzi strategię t. zw. "pośredniego zbliżania" do nakreślonych celi. Przygotowania japońskie trwały dziesiątki lat, poszczególne ich etapy to interwencje w Chinach, zajęcie Mandżurii, Wyspy Hainan, Indochin i obecnie Sjamu. Zajęcie Formozy stworzyło te bazy, z których obecnie atakują Filipiny. Ta dalekowzroczna strategia, planowana, jak widzimy, od wielu lat, umożliwiła te wielkie wstępne sukcesy Japończyków, których byliśmy świadkami. Sukcesy te nie przesądzają jednak ostatecznych wyników. Strategia Dalekiego Wschodu to wielkie odległości, w których niezmiernie trudno będzie o decyzję — zwłaszcza że nawet chwilowo słabszy może z ogromnym powodzeniem prowadzić, przy pomocy lotnictwa i łodzi podwodnych, bardzo skuteczną obronę. Może nie dopuścić, do chwili przez niego wybranej, do zwarcia głównych sił, bez czego decyzja nie jest możliwa. W tej skali, jak tego jesteśmy świadkami, przebieg operacyj mógł być wyłącznie możliwy dzięki wprowadzeniu w największych rozmiarach lotnictwa i wysuniętych baz lotniczych — lotniskowców. Już w tej chwili Japończycy bezsprzecznie osiągnęli bardzo poważne cel strategiczny: utrudnili współdziałanie flot amerykańskich Pacyfiku i Wschodnio-Azjatyckiej, oraz współdziałanie ich obu z angielską Flotą Dalekiego Wschodu w Singapore. Niezmiernej wagi sukcesem japońskim jest też zatopienie "Prince of Wales" i "Repulse", co naszym zdaniem jest wynikiem zbyt odważnego, choć zgodnego z tradycją Nelsona, a obecnie taktyką Cunninghama, użycia tych jednostek przez Admirała Philipsa.

Musimy sobie zatem zadać pytanie, jak w skali strategicznej odpowiedzieć na te wstępne sukcesy Japonii, na czym oprzeć myśl przewodnią walki, na ataku czy obronie i jak to zrobić. Czytelnik zrozumie, że nie możemy w tej chwili nawet starać się dać mu odpowiedzi na te pytania. Nie znamy bowiem jeszcze strat poniesionych przez Amerykę na Hawajach i brak nam szeregu podstawowych elementów dalszych dla sformułowania tez. Możemy w tej chwili wyłącznie podkreślić, że widzimy przede wszystkim konieczność najściślejszego współdziałania wszystkich Aliantów na tym odległym teatrze operacyj. Pamiętać musimy, że niezwykle niski japoński standart życia i zgromadzone zapasy mogą pozwolić Japonii prowadzić akcję od jednego do dwu lat, przy czym zajęcie Indyj Holenderskich mogłoby znacznie jej zdolność oporu wzmóc. Pamiętać ponadto musimy, że potencjał wojenny Stanów Zjednoczonych wymagać będzie jeszcze pewnego czasu, nim będzie zdolny do pełnego wysił ku.

Ujmując zatem w ten syntetyczny sposób rozgrywający się konflikt Pacyfiku, podkreślamy. **Niemcy, które na Zachodzie po przegraniu wojny powietrznej o Anglię zmieniły wszystkie swoje plany i zaatakowały Rosję, obecnie — po nieosiągnięciu zamierzonych celów strategicznych w Sowietach, nawróciły do prób zastosowania zasad przyjętych po pierwszej Wielkiej Wojnie — t.j. że wojna musi być krótka, gdyż czas pracuje na korzyść potęg morskich. W tej chwili Niemcy próbują wojne kontynentalną przełożyć przez wprowadzenie do akcji Japonii na wojnę morską. W ten sposób odsuwają niebezpieczeństwo związane z nieosiągnięciem szybkiego wyniku we wojnie kontynentalnej i mają nadzieję, że przy pomocy wojny morskiej w końcu jednak swe cele strategiczne osiągną.**

Na marginesie przytoczymy wyjątek z książki z roku 1926 generała von Seckta: "Gedanken eines Soldaten": "Wielka Wojna tak mi się przedstawia: Niemcy weszły do niej z jasnym celem zniszczenia sił wszystkich trzech naszych przeciwników na Zachodzie . . . Nie osiągnęły tego . . . Potem próbowaliśmy rozgromić Rosję. Osiągnęliśmy zwycięstwo, nie wystarczyło nam jednak siły do wygrania wojny. Od tej chwili środki nasze prowadzenia strategii zniszczenia w stale wzrastający sposób — ostatecznie zawiodły. Naszą ostateczną nadzieją było, że wrogowie olśnieni naszym desperackim uporem, mogą się okazać w końcu zużyci tymi nudnymi zmaganiami".

Zrozumienie i uzmysłowienie sobie dokładne tej przestrogi von Sekcta pozwala nam tym bardziej postawić tezę, iż w tej

wojnie Niemcy są już po wielu nieudałych próbach realizowania celów strategicznych i że w tej chwili zaczynają co raz bardziej myśleć o znużeniu przeciwnika.

Niemcy są w tej chwili śmiertelnie zranionym zapaśnikiem, nie zapominajmy jednak, że są przeciwnikiem głównym, który zastosować może, nim ulegnie, i na pewno zastosuje, wszystkie stojące mu jeszcze do dyspozycji niespodzianki. Dla przemienienia wojny kontynentalnej w wojnę morską musimy się liczyć z usiłowaniami Niemiec wprowadzenia do akcji Hiszpanii **i floty francuskiej.** Nie łudźmy się ami na chwilę, że panowie Suner i Darlan, a za kulisami Falanga, Laval, De Brinon i inni nie będą tu pomagać. Gdyby zresztą prawdopodobieństwo zdrady z tej strony było nawet zupełnie nikłe, to i tak strateg z nim liczyć się musi. Z zabezpieczeń dodatkowych żadna szkoda i strata nie wynika, wynika ona z zaniedbań czyli z braku przewidywania.

NAUKI LIBIJSKIE

W Libii po opanowaniu kryzysu, związanego z użyciem piechoty południowo-afrykańskiej i nowo-zelandskiej w pierwszej fazie bitwy, dalsza akcja rozwija się pomyślnie. Pod osłoną wojsk pancernych Ósmej Armii, spychających oddziały niemiecko-włoskie w kierunku zachodnim, wielkie jednostki piechoty metodycznie wykorzystują powodzenie w kierunku na wybrzeże morskie, do chwili obecnej osiągając już teren na zachód od Gazali. Strategicznie rozwój sytuacji uważać musimy za znacznie o s t r o ż n i e j s z e realizowanie zasadniczego celu Ósmej Armii Brytyjskiej — pobicia wojsk pancernych Rommla i niedopuszczenia do ich odejścia na zachód. Obecny sposób wykonywania zadania różni się jednak głęboko i zasadniczo od pierszej fazy operacyj. Przyjęty bowiem plan w tej chwili opiera się bardziej realnie na możliwościach taktycznych użytych wojsk.

Plan strategiczny realizowany w pierwszej fazie operacyj określiliśmy jako logiczny, piękny, śmiały — ale bardzo ryzykowny. Ryzyko, naszym zdaniem, polegało na następujących czynnikach: stwierdzonym już obecnie dokładnie niedocenieniu siły pancernej generała Rommla, jak również wartości technicznej średnich czołgów przeciwnika. Ryzyko to w takich operacjach będzie zawsze w mniejszym lub większym stopniu nie do uniknienia. Jesteśmy nawet zdania, że Naczelne Dowództwo Brytyjskie dla przejęcia inicjatywy zupełnie świadomie ryzyko to musiało przyjąć. Drugim z kolei i znacznie poważniejszym w naszym pojęciu ryzykiem to sprawa współdziałania użytych w operacjach wojsk, ich organizacji, a zatem doktryny. Uważamy, że doktryna i organizacja wielkich jednostek broni pancernej brytyjskiej nie w pełni odpowiedziała zadaniom bitwy w pustyni. Doktryną wielkich jednostek pancernych brytyjskich jest, że nie służą one do przełamywania pozycyj umocnionych, że nie służą do walki w nocy i wreszcie, co najważniejsze, że nie są zdolne do utrzymania terenu. Organizacyjnie, jak z tego wynika, wielkie jednostki pancerne brytyjskie wyposażone są, podobnie zresztą jak niemieckie, w dużą ilość specjalistów rozpoznania i ubezpieczenia, a w stosunkowo małą ilość czołgów. Wchodzące organizacyjnie w skład wielkich jednostek pancernych oddziały piechoty mają za zadanie pomagać do wykorzystania powodzenia. W ten sposób pojęta doktryna zmusiła dowództwo Ósmej Armii do użycia w pierwszej fazie bitwy wielkich jednostek piechoty — z tą myślą, by one mogły wykonać zadania, do których wielkie jednostki pancerne nie powinny być używane.

W pierwszej fazie natarcia wielkie jednostki pancerne bardzo szybko zajęły stanowiska wyznaczone im dla zamknięcia domniemanych kierunków odwrotu nieprzyjaciela z zamiarem przyjęcia walnej bitwy z gros sił przeciwnika. Równocześnie jednak zostały rzucone do akcji wielkie jednostki piechoty: Południowi Afrykanie na południe od Rezegh, a Nowo-Zelandczycy w rejon Bardii i Gambutu w kierunku na El Duda dla nawiązania łączności z garnizonem w Tobruku. Już samo użycie broni pancernej stwarzało niezwykłe ryzyko pobicia poszczególnych grup brytyjskich z osobna — w razie zaatakowania ich przez gros wojsk pancernych Rommla. Sposób użycia jednostek piechoty był jeszcze bardziej ryzykowny. W myśl bowiem doświadczeń z dzisiejszej wojny przyjąć musimy jako pewnik, że najlepsza nawet piechota **w otwartym polu nie może stawić czoła czołgom.** To też walki Południowo-Afrykańczyków i Nowo-Zelandczyków, mimo nadzwyczajnego bohaterstwa tych oddziałów, musiały się skończyć dla nich klęską pod El Rezegh i na południe od Tobruku. Właśnie w tym miejscu Rommel przebił się na zachód. Jeśli zatem pierwsza faza ofenzywy nie zakończyła się kataftrofą Ósmej Armii brytyjskiej, to przypisać to musimy istotne przysłowiowemu już bohaterstwu Brytyjczyków i niezwykłemu wprost błędowi operacyjnemu Rommla. Cóż bowiem robi Rommel w tej niezwykle niebezpiecznej dla Ósmej Armii sytuacji? Rozprasza swoje siły, wykonuje częścią sił natarcie na piechotę południowo-afrykańska, gdzie nawet zostaje zatrzymany. Poważną część sił wiąże w walce z poszczególnymi grupami pancernymi brytyjskimi, ponosi duże straty w starciach na ziemi i z powietrza. W dniu następnym nie tylko utrzymuje w dalszym ciągu rozproszenie swych sił, prowadząc walki o charakterze harcowniczym, ale poważną część swych oddziałow rzuca — dla wprawdzie bardzo efektownego ale nieskutecznego manewru na wschód w kierunku granicy egipskiej. W tym właśnie czasie Ósma Armia zdaje sobie sprawę z groźby niebezpieczeństwa, przegrupowuje oddziały, chroni swą piechotę pod osłonę broni pancernej i zmienia całkowicie położenie operacyjne. Dowódca Armii już wie, że nie osiągnie w pełni zamierzonego sukcesu o znaczeniu strategicznym za jednym zamachem, ale osiąga za to zdolność wykonywania zamierzonego zadania m e t o d y c z n i e. Na usprawiedliwienie generała Rommla przytoczyć musimy argument doskonałego współdziałania lotnictwa w ramach Ósmej Armii i obawę przed koncentracją całości swych sił i wystawienia ich w ten sposób na bardzo poważne niebezpieczeństwo ataku z powietrza. Istotnie w tej operacji, jak zresztą we wszystkich dotychczasowych tej wojny, lotnictwo odegrało zasadniczą rolę. Jesteśmy nawet zdania że ono wyłącznie uratowało Ósmą Armię od katastrofy, względnie że jedynie ono pozwoliło na tego rodzaju ryzykowne działania.

Chcemy tu zwrócić uwagę na pewne spostrzeżenie, które wymaga bardzo szczegołowego oświetlenia w przyszłości. Nazwiemy to bluffem strategii i taktyki niemieckiej. Całą operację niemiecką w Libii, t. zn. wprowadzenie na ten teren osławionego korpusu Rommla, rozpatrzyć należy z punktu widzenia niespełnienia przez ten korpus zadania, na pewno mu postawionego — zdobycia Suezu. W skali strategicznej drugorzędne osiągnięcia — zdobycie Cyrenajki i wiązanie pewnych sił angielskich na granicy Egiptu — naszym zdaniem w żadnym wypadku nie pokrywały zużycia materialu i strat jakie Oś musiała ponosić dla utrzymania tam tego korpusu — zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę, że pociski, działa i czołgi tylko w 50% docierały do wybrzeży afrykańskich. Bombardowanie portów afrykańskich i niezwykle kosztowne transportowanie ludzi i sprzętu przez pustynię Libii i Cyrenajki obciążały wybitnie te względne osiągnięcia korpusu Rommla. W dziedzinie taktycznej walkę korpusu Rommla uważać musimy również za objaw taktyki bluffu. Nie może być żadnego usprawiedliwienia z tego, że rzucono poważną część sił na granicę egipską dla dywersji i odciągnięcia tam wojsk brytyjskich, że od samego początku nie dążono do skoncentrowania całości sił pancernych niemiecko-włoskich i wybrania odpowiedniego punktu u przeciwnika celem przeprowadzenia działania niszczącego.

Wnioski, które nasuwa nam już obecnie kampania libijska, są niezwykle ważne. Dotyczą one własnych błędów, ale przede wszystkim niezwykle wiele mówią o nieprzyjacielu. Szczegółowa analiza nieprzyjaciela, o którą nam w "Myśli Polskiej" zawsze tak bardzo chodzi, — jesteśmy pewni — wskaże wiele, jego słabych punktów, nadających się w pełni do wykorzystania.

Uwagi zas co do działań brytyjskich dotyczą, przypomnieć musimy, walk stoczonych w szczególnych warunkach, w pustyni, w których sprawa rozpoznania i ubezpieczenia przy przewadze lotniczej była bardzo uproszczona. Rozpatrując te działania musimy zaznaczyć, że w nich właśnie, więcej jak gdziekolwiek indziej, występuje znaczenie **doktryny** walki i konieczności dostosowania do niej **organizacji** wojska. Sądzimy, że ta ostatnia kampania wykazała, że daleko lepszą i skuteczniejszą w działaniu na tamtejszym terenie byłaby wielka jednostka pancerna, posiadająca **mniej** elementów rozpoznania i ubezpieczenia, **a podwójną** ilość czołgów; że na tamtym terenie w pierwszej fazie walki w piewszej linii walki, a nawet na przedpolu grup pancernych, nie

powinny się były znaleźć wielkie jednostki zwyczajnej piechoty. Wydaje nam się, że w pierwszej linii, obok wojsk pancernych i z zadaniem rozszerzenia zdolności manewrowej tych wojsk, winny się były znaleźć specjalne jednostki o charakterze zaporowym t.j. jednostki zdolne do odparcia ataku czołgów, jednostki złożone zatem z broni przeciwpancernej i wyposażone w duże ilości min przeciwpancernych, w których skład powinni wchodzić wyłącznie specjaliści przeciwpancerni, saperzy i łączność. Naszym zdaniem rozwój dzisiejszych wypadków wymaga rozpatrzenia wreszcie problemu stworzenia oddziałów o charakterze wielkich jednostek do walki z bronią pancerną przeciwnika. Sądzimy ponadto, że należy również bardzo śmiało i otwarcie postawić wreszcie rolę zwyczajnych wielkich jednostek piechoty w dzisiejszej walce.

Pamiętać musimy o tej niezmiennej prawdzie: rozwój techniki zmienia formy walki, prawdziwe zwycięstwo w tej wojnie będzie udziałem tego, kto potrafi nie zamykać się w doktrynie przeszłości, a sięgając wyobraźnią daleko w przyszłość, w jej rozwój i możliwości techniczne, i przygotować się pierwszy do ich pełnego zastosowania i wykorzystania.

Niemiecka kampania 1941 — przegrana

Na froncie sowieckim jesteśmy świadkami bezprzykładnej w historii klęski strategicznej Hitlera. Niemiecka strategia zniszczenia postawiła sobie jako cel doszczętne wyeliminowanie Sowietów jako potęgi wojskowej w roku 1941. Z tego wielkiego planu zeszła do zamiaru zdobycia Moskwy i Leningradu. W świetle tych planów rysuje się jasno rozmiar klęski niemieckiej. Nie możemy w tej chwili przewidzieć, czy nie jest to już klęska o najpoważniejszym znaczeniu strategicznym i czy Niemcy nie stoją w obliczu katastrofy na froncie sowieckim. Przeprowadzenie manewru odwrotowego na tą skalę, jaką narzuca front sowiecki, konsekwencje zimy, niezwykłe trudności komunikacyjne, czynią w obliczu zdeterminowanego przeciwnika i poważnej siły lotniczej manewr taki, **nawet w wypadku niewymuszenia go,** operacją niezwykle delikatną. Konsekwencje zaś odwrotu **wymuszonego** nie dadzą się nawet w tej chwili przewidzieć. Dla dalszego prowadzenia wojny jest rzeczą największej wagi, by w dalszym ciągu śledząc potencjał wojenny niemiecki w pełni uwzględniać zmiany jego wynikające ze strat w kampanii sowieckiej.

W skali prowadzenia wojny widzimy więc przede wszystkim konieczność pokrzyżowania planów Niemiec w związku z zamierzonym przez nich przestawieniem wojny kontynentalnej na wojnę morską. Jako pierwszą konieczność widzimy stworzenie jednolitego frontu politycznego Aliantów z osiągnięciem współpracy Ameryki Południowej i Turcji, stworzenie możliwie najszybciej centralnych organów politycznych i wojskowych międzyalianckich prowadzenia wojny, przy czym zadaniem w tej chwili najważniejszym było by dla Wielkiej Brytanii rozwiązać ostatecznie i bez reszty problem Morza Śródziemnego, dla Sowietów utrzymać w aktywności front niemiecki wschodni. Wszystkie działania na wszystkich teatrach wojny muszą wypływać z jednej myśli przewodniej, t.zn. godzić bezpośrednio i pośrednio w głównego przeciwnika tej wojny — w Niemcy. Zwycięstwo nad Japonią nie musi natychmiast położyć Niemcy, zwycięstwo pełne nad Niemcami prawie automatycznie kładzie Japonię. **To też w skali światowej planów prowadzenia tej wojny ta teza, iż Niemcy to podstawowy i główny przeciwnik, powinna być dominująca.**

Observator.

Tu głowa decyduje—nie uczucie*

"EMIGRACJA polska wydała mnóstwo pamiętników, broszur (w obcych językach) mnóstwo ognistych przepisów na dobre powstania i przewodników na wściekłe rewolucje, duży zapas traktatów politycznych, ale cała polska emigracja nie zdobyła się na to, aby dać cudzoziemcom bodaj jedno dzieło, spokojnie i przedmiotowo wykładające, czem ta Polska jest. Stąd rezultat prosty, że bądź Francuz, bądź Anglik, pałający najpoczciwszą chęcią pisania o Polakach, znajduje tylko epizody wojskowe, wygrażanie zaborcom, utwory poetyckie i wir racji politycznych, westchnień i skarg. Stąd Francuz lub Anglik rad nie rad, musi sięgać do tych języków, w których nie masz dla nas miejsca na sąd bezstronny. Stąd Francuz lub Anglik wcale nie znajduje ostróg dla swej chęci, stąd błądzi, wyrabia sobie fałszywy sąd, a wreszcie gubi się w tym co polskie, a co nie polskie . . . ."

Czytamy te gorzkie słowa prawdy opublikowane przez Gąsiorowskiego (Sclavusa) w r. 1906. i zdumienie nas ogarnia jak są one aktualne. Czy wiele się zmieniło od r. 1906? Czy dzisiaj jest inaczej? Oczywiście zmiany są i to znaczne. Mamy własny Rząd, mamy Siły Zbrojne, a "oprócz tego" mamy Ministerstwo Informacji i wiele półprywatnych, przeważnie subwencjonowanych, słabych oraz zupełnie prywatnych, lepszych nieco, "nieoficjalnych ambasad" wydawniczo-propagandowych. Mamy też za sobą 20 lat pionierskiej pracy państwowej. Wywieźliśmy z Kraju złoto i niestety, zbyt dużo starych t. zw. działaczy politycznych. Jedyną wartość konkretną, jaką zareprezentowaliśmy światu po wrześniu 1939. r. na terenie zagranicznym, to organizacja nowej Armii we Francji. Niestety straciliśmy znaczną jej część zbyt szybko. Na szczęście wynieśliśmy z tych pogromów honor. Polska została natchnieniem narodów — jak powiedział Roosevelt. Niestety, od oceny najmądrzejszych u obcych, do skutków dla nas pożądanych, często droga daleka. Wilson został zdezawuowany przez własny naród. Churchill niejednokrotnie dawał wyraz swemu pozytywnemu stosunkowi do Polski. I to nie tylko w czasie tej wojny. Ale bez ugruntowania naszej pozycji **w opinii** społeczenstw walczących z Niemcami — możemy się znaleźć w położeniu nie lepszym, niż wiosną 1939. r. To nie jest przesada. Zdobywszy uczucia Anglosasów — musimy zdobyć jeszcze ich umysły. Na tym terenie panem decyzji jest nie serce, lecz rozum. Takie jest przysłowie angielskie.

Nic, zdawałoby się łatwiejszego, niż ta praca w tych właśnie warunkach, a tymczasem . . . . .

Zaledwie wylądowaliśmy w Plymouth, Liverpool'u lub Glasgow, rozpoczęliśmy działalność propagandowo-wydawniczą. Oczywiście dla siebie i między sobą. Mnożyły się jak grzyby po deszczu jednodniówki, biuletyny-komunikaty, nowiny, dzienniki, tygodniki. Powoli zaczęła fala opadać, ale utrzymała się na wysokim liczbowo poziomie. Na głodzie słowa i prawdziwej literatury zaczęli żerować liczni spekulanci łatwych dochodów. I jaki tego wynik? Po roku "radosnej twórczości" w tym zakresie możemy zanotować 47 pozycji wydawniczych prozą w języku polskim, w tym przedruków 21. Oceniając ten dorobek wydawniczy można powiedzieć, że tylko te przedruki, przeważnie ze skarbnicy literatury polskiej przedstawiają istotną wartość. Z 26 pozycji oryginalnych, nowych, tylko 7 można by zaliczyć do stojących na jakim takim poziomie, bądź pożytecznych. Nie na tym jednak koniec. Prócz owych 47 pozycji prozy możemy się pochlubić 14 pozycjami w mowie wiązanej, ale z tych tylko 4 można zaliczyć do poezji, reszta to wierszyki okolicznościowe.

Na tym tle wydawniczym — znacznie lepiej wygląda sprawa naszych czasopism. Dorobkiem "Myśli Polskiej," "Wiadomości Polskich" i "Poradnika Świetlicowego" wydawanego przez Polską Y.M.C.A. możemy się chlubić. Choć "Dziennik Polski" poważnie osłabia tę chlubę.

* Nadesłany artykuł niniejszy opiera się na opracowaniu bibliografii wydawnictw polskich w W. Brytanii z przed trzech miesięcy. Nowe wydawnictwa, które się w tym czasie ukazały, nie wpłynęły na zasadniczą ocenę sytuacji, która przedstawia się źle. Publiczność angielska i amerykańska w dalszym ciągu nie ma źródłowych opracowań polskich problemów politycznych i innych.

Ale to wszystko nie to. Chcielibyśmy powiedzieć Gąsiorowskiemu, że dzisiaj Anglicy czy Amerykanie mogą czerpać pełną ręką z opracowań i wydawnictw naszych, wydawanych w ich języku, że do ich dyspozycji oddaliśmy encyklopedię wiadomości o Polsce dawnej, niedawnej i przyszłej, co byłoby rzeczą najważniejszą. A tymczasem, choć wdzięczni powinniśmy być nieznanemu autorowi za opracowanie bibliografii literatury polskiej i dzieł o Polsce i Polakach w języku angielskim (p. Biuletyn Nr. 9-41. z dnia 30.IX.41. Wojsk. Biura Propagandy i Oświaty), to jednak smutek nas ogarnia po jej przestudiowaniu. Wykazuje ona aż nadto jasno do jakiego niedbalstwa dopuszczają nasze placówki wydawnicze i jaki chaos panuje w tej robocie. Za pełny rok działalności wydawniczej znajdujemy tam 14 pozycyj polskich w języku angielskim. Dobrze, mówimy sobie, tylko 14 pozycji, ale zapewne wartościowych, pełnych argumentów politycznych, społecznych gospodarczych — nieodparcie dowodzących naszych praw do pełnego rozwoju w środkowej Europie, — trafiających nie do serca, lecz do umysłu Anglików.

Ale gdzież tam! Przypatrzmy się bliżej, jakie to są pozycje: a więc kilka przykładów: (1) Locomotive-Tuwima, (2) Youth, Love and Adventure — Choynowskiego (co prawda dawniej tłumaczonych ale w 1940 powtórnie wydanych), (3) Album tańców polskich — Łukasiewiczowej, (4) Old Cracow, (5) Polish Panorama, (6) Tales of Tatra. Przykładowo, a już 6 pozycji na 14. Za cały rok pracy Ministerstwa Informacji i kilku innych ambasad nieoficjalnych — za oficjalne pieniądze! Na szczęście są w tym zestawieniu pozycje dobre, ale "Poland in numbers" wydawnictwo Zrzeszenia Prawników — zwalczane jest przez Ministra Informacji, (2) "Poland and Dantzig" — wyd. Polish Research Centre, (3) Poland's position in Central Europe" — wyd. prywatne. Ratują tę sytuację czasopisma wydawane w języku angielskim, a mianowicie: (1) "Free Europe," (2) Polish Fortnightly Review" i (3) "The Clasp of frienship" — ale znów, jak na przekorę, dwa z nich to wydawnictwa o charakterze inicjatywy prywatnej.

Jestem przekonany, że Gąsiorowski cieszyłby się więcej dorobkiem propagandowym Koła Polskiego w Londynie za lata 1916-1918. Wówczas to bez oparcia o rząd, o Ministerstwo Informacji, o kapitały rządowe, bez atmosfery szczerej sympatii, jaka dzisiaj nas otacza, polskie grono działaczy wydało w tym czasie w Londynie — 9 publikacji w języku angielskim, a z tych co najmniej 7 bardzo pożytecznych. Dla przykładu niektóre tytuły: (1) Roman Dmowski — "Poland Old and New,"* (2) "Poland in the world democracy" — Zielińskiego Antoniego, (3) "The Social evolution of Poland in the XIXth Century" — Kozickiego Stanisława. (4) "Landmarks of Polish history" — Zaleskiego Augusta. Oto różnica środków i poziomów.

Cóż więc możemy dać do ręki tym Anglikom, "pałającym najpoczciwszą chęcią pisania o Polakach"? Może "Lokomotive" — Tuwima. Może "Młodość, Miłość i Awanturę". — Choynowskiego. Gdzież więc jest myśl w całej tej robocie?

Przecież to znów nie taka trudna rzecz. Co prawda nasza propaganda zawsze szwankowała. Gąsiorowski był aktualny nie tylko w 1906. r., ale również i po 1918. Były jednak chlubne wyjątki. Były nawet takie, które na dzisiejszą sytuację aż się proszą o naśladownictwo, jeśli już nie o powtórzenie. Wystarczy wychwytać z cytowanego już opracowania bibliografii tytuły Biblioteczki Instytutu Bałtyckiego za lata 1934–1937, aby się przekonać, że to była pożyteczna i właściwa robota. I znów wystarczy wymienić tylko kilka tytułów Biblioteczki Bałtyckiej dla zorientowania czytelnika, o jaką pracę propagandowo-wydawniczą mógł wołać Gąsiorowski. A więc: "Nationalities in Pomerania" — Leona Wasilewskiego. (2) "Silesia and Pomerania" — Czesława Klarnera, (3) "The truth about the 'Corridor' — Polish Pomerania" — głównego inicjatora pracy wydawniczej Instytutu Bałtyckiego — Romana Lutmana, (4) "East Prussia" — Stanisława Srokowskiego, (5) "The territorial development of Prussia in relation to the Polish homelands" Zygmunta Wojciechowskiego, (6) "The Western Slavs on the Baltic" — Józefa Widajewicza, (7) "Polish-German antagonism history" — Józefa Feldmana.

Pamiętajmy, że musimy przed zakończeniem tej wojny i przystąpieniem do rozmów pokojowych zdobyć dla naszych koncepcyj urządzenia Polski i Europy Środkowej umysły Anglosasów. Nie uczynimy tego nawet hekatombą dalszych ofiar. Możemy to uczynić tylko poważnym wysiłkiem myślowym i wydawniczym. Niedość się oburzać na poglądy tego lub innego publicysty czy pisarza angielskiego. Nie dość być przekonanym o pełni praw do tych czy innych rozwiązań problemów granicznych — należy na każdy, choćby najbardziej naiwny, z nieznajomości rzeczy najczęściej pochodzący — pogląd — odpowiedzieć słowem drukowanym, argumentem rzeczowym, cyfrą lub tablicą statystyczną popartym. Tylko tą drogą po przez przeorane czynami naszych lotników, znojem naszych marynarzy — krwią naszych żołnierzy — uczucia Anglosasów dojdziemy do ich umysłów. Jeszcze raz pamiętajmy, że na Wyspach Brytyjskich i na zachodniej półkuli głowa — nie serce jest panem decyzji.

B.

* Najważniejsze dzieło Dmowskiego z tego czasu po angielsku — Memoriał o urządzeniu Europy Środkowej i Wschodniej — wydane było w 1917 r. na prawach rękopisu, choć rozesłane znacznej liczbie osób.

Noty i uwagi

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

Napisaliśmy w swoim czasie po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej o rozgorzeniu pożaru światowego. Wojna niemiecko-sowiecka bowiem stała się drugim aktem dramatu, którego perypetia przedstawia się nam dopiero dziś w całej okazałości. Wkroczenie Sowietów do wojny przygotowało umysły amerykańskie do pojęcia wojny kontynentów, niepowodzenia niemieckie w Rosji kazały pośpieszyć się Japonii.

Japonia jest daleko od Polski i to pozwala Polakowi na swobodniejsze omówienie tego nowego przeciwnika. Japonia jest jedynym dziś mocarstwem naprawdę **pogańskim**, które toczy wojnę. Niemcy są czymś gorszym, niż poganami; Niemcy są **zdrajcami** chrześcijaństwa, Japończycy są jeszcze poganami i to w realniejszym znaczeniu tego słowa, niż Chińczycy, Hindusi i Muzułmanie różnych narodowości. Cywilizacja japońska czerpie z dwu źródeł: chińskiego i europejskiego. Ta na zapożyczeniach więc oparta cywilizacja jest bardzo predysponowana do naśladownictwa. Nie można jednak mówić, że naśladownictwo jest ślepe. Stare, izolowane państwo japońskie na wyspach wytworzyło własne bardzo głęboko sięgające formy życia, oparte na biologicznym materializmie. Japończyk nie ma pojęcia człowieka w ogóle, ma on natomiast bardzo głęboko osadzone w nim animalne, żadnym transcedentalnym wzlotem ducha nie prześwietlone, pojęcie Japończyka i nie-Japończyka.

Naród tak uformowany i tak doskonały w swoim odosobnieniu zetknął się dwa razy w swojej historii z obcymi światami. Zetknął się jednakże nie całym swoim szerokim przekrojem, lecz tylko peryferią. Nie przeżył więc głęboko przewrotu duchowego ani po przyjęciu cywilizacji materialnej chińskiej, ani po zapoznaniu się z całą techniką europejską. Pozostał sobą, choć nie wyklucza to przewrotu cywilizacyjnego w Japonii w przyszłości.

Nic więc dziwnego, że Japończycy z całą pewnością nie rozumieją oburzenia Cordell Hulla, kiedy ten rzucił w twarz delegatom japońskim w Waszyngtonie, że dotąd żaden jeszcze rząd na tej planecie nie nagromadził razem tyle fałszu, ile rząd

japoński w odpowiedzi ostatecznej rządowi Stanów Zjednoczonych. Oczywiście odczuli oni bardzo głęboko obrazę zawartą w takim ich potraktowaniu pod względem formy, ale dla etyki japońskiej zarzuty takie są poza pojęciem dobra i zła.

Słowa japońskiego poety z X wieku: "Skoro przekonany jestem, że rzeczywistość w żadnym znaczeniu nie jest rzeczywistą, jak mam się zgodzić na to, że sny są snami?" — od dawna zwodziły Europejczyków swoją ułudną zwiewnością i pozorami melancholijnego sceptycyzmu, za którymi kryła się cała mocna, wiekowa konstrukcja materialistyczna i biologiczna. Ostatnio zwiedzeni zostali Amerykanie. Przekonali się jednak, że sny są snami, a rzeczywistość rzeczywistością. I to jest najbardziej dla nas realny i wartościowy wynik wystąpienia Japonii. Teraz już nie można oddawać się marzeniom, trzeba zakasać rękawy. Tak, Ameryko!

(r.)

CO UCZYNI FRANCJA?

Francja dzisiaj — to znaczy tam na miejscu we Francji i posiadłościach kolonialnych zarówno sam rząd w Vichy, jak też i lud francuski, wojsko, marynarka, administracja i t.d. Każdy z tych czynników może zaważyć na zachowaniu się Francji jako całości w tej nowej fazie wojny. Francja oddała przecież Japonii Indo-Chiny, bez których inwazja Sjamu i Malai nie była by dziś możliwa. Z drugiej zaś strony Pertinax, który przebywa obecnie w Stanach Zjednoczonych i atakuje stamtąd Vichy, nie wspomina, jak wielkę rolę w tych sprawach odegrała bierność Ameryki wobec katastrof europejskich.

Nie ulega wątpliwości, że z punktu widzenia k a ż d e j Francji rząd Petaina popełnił błąd w 1940 roku, składając broń przed Niemcami. Liczył on wtedy, że załamie się również opór Wielkiej Brytanii. Była to więc polityka rozpaczy. Kiedy jednak Wielka Brytania nie załamała się, polityka rozpaczy zaczęła się rozwijać w politykę biernego oporu. Laval został wyeliminowany z rządu, Weygand objął Afrykę. Po niepowodzeniach niemieckich w Rosji wzmógł się nacisk na Vichy, ale wzmogła się też siła oporu. Poszedł Weygand do dymisji, ale za to w chwili wybuchu nowego konfliktu rząd Petaina ogłosił neutralność i zawiadomił ambasadora amerykańskiego, że posiadłości kolonialnych w Afryce będzie bronił przeciw wszelkim agresorom. Zwycięstwa brytyjskie w Libii powinny obecnie przeważyć szalę, choć z drugiej strony nacisk jest bardzo silny i rozmowy Goering-Petain i Ciano-Darlan są tego wyrazem. Jak jednak wzrasta powoli wpływ czynników oporu w rządzie w Vichy, świadczy o tym pierwszy publiczny— przez radio — protest rządu w Vichy przeciw zarządzeniu Stülpnagla w Paryżu o rozstrzelaniu stu zakładników. Być może zresztą, że jest to ustępowanie przed falą oburzenia wzbierającą w biernym dotąd społeczeństwie francuskim, ale tym nie mniej fakt pozostaje faktem.

Wszyscy przyjaciele Francji cieszyliby się szczerze — bez względu na dotychczasowy stosunek do rządu kapitulacji francuskiej, gdyby ten rząd w chwili naprawdę już ostatniej rzucił wszystkie istniejące zasoby i możliwości francuskie na szalę koalicji antyniemieckiej. Być może zresztą, że momencie krytycznym istniejące w Afryce oddziały wojska oraz flota wystąpią w obronie prawdziwych interesów Francji nawet wbrew stanowisku rządu w Vichy, ale byłoby o wiele lepiej, gdyby Francja w tym względzie zjednoczyła się cała i wystąpiła jednolicie. Wrogiem Francji są przede wszystkim Niemcy i tylko Niemcy. W stosunkach z innymi państwami może chodzić o rywalizację interesów, ale nie o kwestię życia i śmierci. Trudno nam uwierzyć, żeby nawet rząd obecny francuski — lub przynajmniej jego część — tego sobie nie uświadamiał. Francja jest państwem starym, o świetnej tradycji politycznej tysiąca lat, której dziedzicem — choćby mimowolnym — musi być każdy rząd. Inaczej upadek byłby bezdenny.

(r.)

PODRÓŻ MOSKIEWSKA

O wynikach podróży moskiewskiej gen. Sikorskiego wiemy nie wiele, tyle ile nam urzędowo do wiadomości podają. Komunikacja z Sowietami jest trudna pod każdym względem, jeśli zaś idzie o stosunki polskie, to podróż w obie strony należy do arcyrzadkich wyjątków. Jesteśmy od tamtych rodaków odcięci, żyjemy w różnych światach. Kto z jednego świata przeszedł do drugiego, niema już sposobności powrotu i opowiedzenia bliźnim o tym, co widział. Ostatnie wypadki wojenne jeszcze bardziej utrudniły podróże, gdyż rzecz jasna, że wszelki środki transportowe muszą być zarezerwowane dla potrzeb naprawdę najpilniejszych.

Zdani więc jesteśmy na to, co nam podają dzienniki. Pobyt generała Sikorskiego w Moskwie przypadł akurat na czas zwycięstw armii sowieckiej nad Niemcami, co oczywiście dodało ducha politykom sowieckim. Pod tym względem Moskwa ma szczęście. Układ z naszym Rządem w lipcu 1941 zawarła również w momencie dla siebie psychologicznie dogodnym.

Echa prasowe i okolicznościowe wskazują, że rozmowniejsza była w rokowaniach strona polska, strona sowiecka odznaczała się raczej lakonicznością. Wszyscy trzej obecni tam najwyżsi przedstawiciele polscy: premier Sikorski, ambasador Kot i generał Anders wyrażali się z uznaniem o działalności szefa rządu sowieckiego Stalina. Ten jednakże jest człowiekiem małomownym, "nie lubi zbytecznych słów" — jak go określił ambasador Kot, i nie wyszedł poza ogólne życzenia dla Polski.

Tak samo ogólna jest deklaracja podpisana przez Sikorskiego i Stalina w dniu 4 grudnia 1941 w Moskwie. Zaczyna się ona od charakterystycznego osądzenia "niemieckiego imperializmu hitlerowskiego" jako najgorszego wroga ludzkości. Podpis Polski na takim akcie razem z Sowietami ma duże znaczenie dla polityki Związku Sowieckiego. Dalsze terminy Deklararacji są dostateczne, jeżeli mają wyrażać wolę obu krajów prowadzenia walki równocześnie i obok siebie z tym samym wrogiem, jednakże zbyt ogólne, jeśli idzie o przyszłość. To, co nie było wyraźnie powiedziane w układzie z 30 lipca, nie zyskało na jasności i obecnie. N.p. kiedy mowa o "rzetelnym przestrzeganiu przyjętych przez obie strony zobowiązań," to natychmiast przychodzą na myśl zobowiązania obu stron stypulowane w zawartych w ostatnim dwudziestoleciu traktatach i układach. Minister Stroński, oficjalny komentator polityki naszego rządu, wspomniał w swoim przemówieniu, że oświadczenie Sikorski–Stalin "jest wznowieniem tego samego dążenia," które było wyrazem polsko-sowieckiego paktu o nieagresji z 1932 r. Szkoda, że min. Stroński nie mógł na miejsce "dążenia" powiedzieć: traktatu. Ta aluzja do istniejących już między Polska i Sowietami traktatów, których nie wymienia **expressis verbis** ani układ z 30 lipca ani deklaracja z 4 grudnia, zdaje się potwierdzać nasze mniemanie, że lepiej by było, gdyby te traktały wymieniono wyraźnie i wolę dochowania ich przez obie strony publicznie w tych nowych warunkach stwierdzono. Oczywiście — jeżeli wolno wyglaszać jeszcze jakiekolwiek komentarze po komentarzach ministra Strońskiego!

To samo da się powiedzieć o innym zdaniu min. Strońskiego, że "nie można narzekać na niedomówienia lub zastrzeżenia" jeśli chodzi o określenie stosunku do Niemców. Czy jednak wolno powiedzieć, że n.p. terminologia co do stosunków w przyszłości jest raczej niejasna? Deklaracja mówi o "zjednoczeniu krajów demokratycznych i trwałym sojuszu," nie określając, czy zjednoczenie ma być czymś więcej, lub mniej, niż sojusz. Nie wiadomo jak to rozumieć — zwłaszcza, że "Prawda" moskiewska, cytowana w "Dzienniku Polskim" z 15 grudnia 1941, mówi już o połączeniu krajów demokratycznych w "trwałą unię." Tak samo kwestia przyszłego przeciwstawienia się agresorom przy pomocy "zbiorowej siły zbrojnej wszystkich państw sprzymierzonych" nie jest przedstawiona jasno. Czy chodzi tu o wspólne wojsko, czy też o wspólne wystąpienie różnych wojsk?

Jeżeli się ma wyobraźnię przyszłości, to się doceni należycie zaletę jasnego wyrażania się w tego rodzaju układach!

Wśród tych wszystkich trosk uczucia nasze biegną ku naszym rodakom w Związku Sowieckim. Wycierpieli oni tak wiele, iż jak gdyby przepalają się w jakimś ogniu mistycyzmu ofiary za Polskę. Min. Stroński mówiąc o nich, używa wyrażenia "jakby jacyś nieziemscy." Podwójna tedy odpowiedzialność spoczywa na rządzie polskim: trzeba dobrze sobie wszystko odmierzyć, żeby zaprowadzić męczenników ku ofierze za Polskę i tylko za Polskę. Rzeczywistość ich w Związku

Sowieckim jest jeszcze bardzo ciężka. Rozumiemy np. ich radość z otrzymania brytyjskich mundurów, skoro przy 42 stopniach mrozu mieszkają w Buzułuku w namiotach. . . .

(r.)

ZASŁUGA GDYNI I NASZYCH MARYNARZY

Wywalczenie Polsce należytego, szerokiego oparcia o morze nie będzie na konferencji pokojowej rzeczą łatwą, — z tego wszyscy dobrze sobie zdajemy sprawę. Nie ulega jednak z drugiej strony wątpliwości, że zagadnienie naszego wybrzeża morskiego poczyniło w świadomości narodów anglosaskich, w stosunku do poprzedniego stanu rzeczy, znaczne postępy. Spopularyzowanie koncepcji Polski jako narodu morskiego jest — poza ogólnymi względami natury strategiczno-politycznej — "zasługą" dwóch głównie czynników: po pierwsze portu gdyńskiego, po drugie naszych marynarzy zarówno z floty wojennej, jak handlowej.

Ci spośród cudzoziemców, którzy przed wojną oglądali port gdyński — była wśród nich także pewna ilość dziennikarzy i polityków angielskich i amerykańskich — stali się zdecydowanymi rzecznikami naszych praw do morza i wybrzeża morskiego.

Gdynia na wszystkich zrobiła duże wrażenie. Do jej poznania i uświadomienia niektórym Amerykanom ogromu wysiłków, dokonanych przez naród polski w jej budowie, przyczynił się w pewnej mierze — o ironio losu! — sam "Oberführer" Adolf Hitler. W pamiętnym wrześniu 1939 r. zaprosił on grupę korespondentów berlińskich prasy amerykańskiej na objazd po napadniętej przez siebie Polsce i kazał im m.i. być świadkami zdobywania przez niemieckie siły lądowe, powietrzne i morskie Oksywia, bronionego przez garstkę Polaków. Dziennikarze amerykańscy stali na Kamiennej Górze, u stóp wielkiego krzyża, wkrótce po tym zwalonego przez okupantów, i podziwiali bohaterstwo małego garnizonu polskiego, uzbrojonego tylko w karabiny zwykłe i kilka karabinów maszynowych, a atakowanego przez artylerię lądową i okrętową (z krążownika "Schleswig-Hollstein"), piechotę, czołgi i samoloty. Przy tej jednak sposobności Amerykanie obejrzeli sobie także miasto i port. Rezultatem są entuzjastyczne pochwały Gdyni, jakie w książce swej pt. "Behind the Nazi Front" wypowiada berliński korespondent izolacjonistycznej "Chicago Tribune" John McCutcheon Raleigh — krytycznie zresztą usposobiony do polskiego prowadzenia wojny. Podobne wyrazy zachwytu nad Gdynią, jej nowoczesnością i urządzeniami, znajdujemy w znanej książce innego Amerykanina, korespondenta "Columbia Broadcasting Corporation" Shirera pt. "Berlin's Diary", której w samej Ameryce rozeszło się dotąd około pół miliona egzemplarzy i która robi obecnie furorę w Anglii. Shirer również zwiedzał Gdynię i również był świadkiem zdobywania Oksywia.

Z innych czołowych dziennikarzy amerykańskich o Gdyni wspominała niejednokrotnie w swych artykułach i przemówieniach p. Dorothy Thompson. Nie pominęła ona zresztą portu gdyńskiego także w ostatnim swym pięknym przemówieniu radiowym, wygłoszonym do Polaków d. 11 listopada rb.

O roli, jaką w popularyzowaniu naszej "morskości" spełniają w czasie obecnej wojny marynarze polscy ,nie potrzebujemy pisać. Wystarczy stwierdzić, że odyssea łodzi podwodnej "Orzeł" więcej nam w tym zakresie przyniosła rozgłosu na całym świecie, niż setki artykułów i przemówień. Jeśli zaś chodzi o późniejszy i obecny okres wojny, to warto podkreślić, że obok naszych lotników najlepszymi w W. Brytanii propagatorami sprawy polskiej są niewątpliwie właśnie marynarze — zwłaszcza w okolicach przybrzeżnych, gdzie ludności więcej wiadomo o nich i o ich ciężkiej, ofiarnej służbie.

Możemy więc stwierdzić z radością, że bezmierny trud, włożony w budowę Gdyni i zaczątków naszej floty morskiej i handlowej, nawet w obecnej katastrofie wojennej wydaje owoce — i to na tym terenie właśnie, na którym nam najwięcej musi zależeć.

(x)

KRAJ I EMIGRACJA

Jak wiadomo, w emigracji polskiej dużą różnicę zdań wywołała sprawa, co mozna tu, na emigracji, decydowac w sprawach Kraju, a co tylko dla decyzji Kraju przygotować. Wedle wiadomości dochodzących z Kraju, nie są nasi rodacy tam zadowoleni z działalności emigracji. Istnieje tam i rozpowszechnia sie pogląd, że emigracja poddana byc musi surowemu egzaminowi i że w żadnym razie Kraj nie uważa się dziś za dodatek do emigracji, ale — przeciwnie — uważa, że emigracja powinna działać jako przedstawicielka Kraju, któremu następnie bedzie musiała zdać sprawę.

Ciekawe jest, że pogląd ten nie nasuwa żadnych wątpliwości w innych ośrodkach emigracji politycznej na gruncie brytyjskim. Mamy tu na na myśli przede wszystkim emigrację francuską i czesko-słowacką.

W swoim przemowieniu z 17 listopada b.r.w. Albert Hall w Londynie general De Gaulle oświadczy ł; że jednym z artykulów wiary politycznej ruchu Wolnych Francuzow jest **"oddać głos narodowi, jak tylko wypadki pozwolą mu wyrazić swobodnie to, czego naród chce i to, czego nie chce."**

To samo powiedzial Prezydent Czechosłowacji dr. Benesz na otwarciu czechosłowackiej Rady Stanu w Londynie w dniu 25 listopada 1941.

"Musimy sobie zdawać sprawę — mowil Prezydent Benesz — iż tu zagranicą jesteśmy małą tylko częścią narodu, że pełny ciężar walki we wszelkich kierunkach dźwiga naród w kraju, że my tutaj jesteśmy tylko wyrazicielami ich woli i poglądów, chorążymi ich sztandarów i symbolów — i niczym wiecej. **My idziemy z nimi, a nie oni idą z nami. Dla nas głównym frontem dzisiaj i aż do zakończenia tej wojny, a szczególnie po załamaniu się Niemiec, jest i będzie front, na którym walczy nasz naród w kraju."**

" . . . Niech nikt z nas, żołnierz czy polityk, nie wyobraża sobie siebie samego w roli pewnego rodzaju oswodziciela. . . . ."

Oczywiście, my nasze potrzeby musimy sami osądzać i wymierzać, nie mniej zasada jest ta sama u nas, u Czechów i Słowaków oraz u Francuzów. Każdy, kto się przygotowuje do roli opatrznościowego oswobodziciela, srodze sie zawiedzie. Tam w Kraju społeczeństwo przechodzi tak straszna szkołę życia i spraw publicznych, że ceremoniowania sie wielkiego nie będzie. Trzeba bardzo pamiętać o przemianach w psychologii zbiorowej narodu w kraju, ktory będzie stosował kryteria surowego realizmu, i na pewno nie ulegnie fali werbalizmu emigracji, gdyby ta chciala popisywać się sukcesami na papierze.

Pisząc tak nie chcemy bynajmniej twierdzić, iż emigracja ma lękliwie nic nie robić i tylko czekać na wieści z Kraju. Właśnie przeciwnie, powinna działać jak najwięcej, bo z działania będzie kiedyś poddana kontroli i osądowi. Nie ulega też watpliwości, że ludzie, którzy tu działają bez żadnej **reservatio mentalis**, a jedynie tylko dla Polski, najlepiej porozumieją się z Krajem i bez żadnych trudności psychologicznych ułatwią rodakom z Kraju ocenę działalnosci emigracji. Nie ma też obawy, żeby po powrocie rozpłynęło się wszystko w jakiejś idylli: "kochajmy się panowie bracia." Ślamazarność polska została pogrzebana wraz z wielu innymi cechami kultury polskiej wieków ubiegłych. Dzis naród wchłonął w siebie wiele elementów nowych, odziemnych polskich. Wpłynie to dodatnio na pamięć zbiorową, ktora jest zasadniczym warunkiem istnienia i rozwijania się narodu. (r.)

NOMINACJE

W stosunkach wewnętrzno-politycznych w Wielkiej Brytanii rzeczywistość urzędowa nie uległa zmianom. Ostatnie nominacje — m.i. dr. Mariana Seydy i prof. Wacława Komarnickiego, jak nas informują z kół kierowniczych Stronnictwa Narodowego, nie mają znaczenia politycznego.

B. Minister Sprawiedliwości dr. Marian Seyda mianowany został kierownikiem jednego z ważniejszych biur rządowych, które przedtem podlegało jemu samemu, jako ministrowi, obecnie zaś podlega Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Nominacja ta nie była poprzedzona rozmowami ze Stronnictwem Narodowym i nie oznacza żadnej zmiany w postawie Stronnictwa wobec obecnego rządu, w którym, jak wiadomo, przedstawiciele S.N. od kilku miesięcy nie zasiadają.

Prof. Komarnicki zaś powołany został do Komisji Spraw Ustrojowych przy Prezesie Rady Ministrów, ktorej przewodniczy prof. Grabski. Prof. Komarnicki zasiada w komisji jako znawca prawa konstytucyjnego, nie wiążąc w niczym stanowiska Stronnictwa Narodowego, które w odpowiednim czasie da wyraz swym poglądom w sprawie ustroju.

(r.)

Z prasy i publicystyki

ZOBOWIĄZANIA WOBEC EUROPY

Jest wcale naturalnym zjawiskiem, że właśnie **katolicka** prasa, mająca z samejże definicji katolicyzmu płynące zainteresowanie **powszechne,** przełamuje pewne przejawy zapomnienia o kontynencie, jakie cechują insularne myślenie angielskie. Niezmiernie cennym tego przykładem jest artykuł wstępny pod powyższym tytułem, zamieszczony w jednym z ostatnich numerów **The Tablet.** Tak, Wielka Brytanja ma zobowiązania wobec Europy, i "brytyjski Sekretarz dla Spraw Zagranicznych — mowa jest o p. Edenie — winien pamiętać, że Europa patrzy. . ."

Jakież są te zobowiązania? Zwracają się one w dwie strony i przestrzegają przed złem dwojakim, tak przed hitleryzmem jak i przed bolszewizmem. ymczasem z faktu, że sprzymierzeni pomagają dziś wedle sił najechanej przez Niemców Rosji, wyciąga się, zbyt pochopnie, w niektórych sferach angielskiej opinii ukryty i uboczny wniosek, że nic, albo niewiele nas dzieli od reżimu panującego w Rosji, od bolszewizmu. Otóż tu właśnie, nie należy zapominać, że Europa patrzy . . .

"Nasi kontynentalni sprzymierzeńcy nie podzielają romantycznych złudzeń o Sowietach, tak powszechnych w angielskich kołach liberalnych i ex-liberalnych. Swięty płomień, który ogrzewa Europę znajdującą się pod terrorem lub na wygnaniu, jest płomieniem patriotyzmu, a też i płomieniem religijnym, co wynikło z postaci germańskiego prześladowania. Niemcy grożą zniszczeniem starej idei ojczyzny i chcą w ten sposób wepchnąć w "Nowy Porządek" Polaków, Czechów, Słoweńców i Serbów na najniższy stopień, a na trochę wyższy Austriaków i Holendrów czy Flamandów. . . . Wielka Brytanja objęła rolę kierowniczą w walce o uwolnienie Europy od takich zamierzeń i haseł. . . . Jest to sprawa całkiem wystarczająca, by poruszyć narody Europy i pomóc im do przetrwania i ofiar. Nie ma zaiste żadnej potrzeby by rywalizować z Niemcami w poszukiwaniu atrakcyjnych "nowych" porządków." Jest to powodem dużego zdziwienia dla inteligentnego Europejczyka, gdy widzi godny lepszej sprawy zapał, z jakim w Anglii ludziska idą po tej drodze, nie mając wyraźnie pojęcia, że Europa ma swój wypróbowany porządek życia i pewne punkty oparcia. . . .

Do tego tradycyjmego europejskiego porządku tyłem odwrócili się nietylko Niemcy, ale — pamiętajmyż o tym — i bolszewicy.

Bolszewizm jest powszechnie znienawidzony od Grecji do Norwegji i od Polski po Holandję i Belgję, bo wszędzie tam to, co silne opiera się o patryjotyzm i religję . . . .

"Niebezpieczeństwen dzisiejszego dnia jest by, z chęci użyczenia wojskowenu aljansowi z Sowietami także i wzajemnego zaufania i to natychmiastowego i nagłego — nie uwikłać się w **handicap,** jeśli idzie o politykę europejską. . . . Jeśli w Europie nie wierzy z nikt w "krucjatę" Hitlera, jest jednak wielu Europejczyków, którzy czują, że — dla swych własnych powodów — Hitler dąży do czegoś, co i oni przywitają z zadowoleniem. Niebezpieczeństwo czerwone nie jest mitem dla rolniczych krajów Europy środkowej . . . .

"W każdym kraju europejskim jest mała, niekiedy bardzo mała, mniejszość komunistyczna. W każdym jest bardzo wiele ludzi, dla których obawa przed gwałtowną rewolucją ateistyczną stanowi przedmiot politycznej rozwagi. Próby, czynione przez ludzi emocjonalnych i nieodpowiedzialnych by zasugerować nam, iż to co nas dzieli od Sowietów jest w istocie swej nieistotne, — próby takie mogą tylko pomóc doktorowi Goebelsowi. . . .

"Nikt nie poczyna twierdzić, że nazizm nie był taki zły, skoro Niemcy walczą tak dobrze, i skoro nie było zamieszek w Niemczech."

Tyle **The Tablet.** Nie wolno nam także argumentować inaczej wobec komunizmu . . .

ECHA DEKLARACJI MOSKIEWSKIEJ

Czołowy tygodnik lewicowy w Wielkiej Brytanji 'The New Statesman and Nation" poświęca bardzo znamienne uwagi ostatnim rozmowom i przemówieniom oraz deklara — cjom wygłoszonym w Moskwie przez polskich i sowieckich przedstawicieli. Oto przekład uwag tygodnika londyńskiego:

"W tygodniu mniej ogromnych wypadków więcej uwagi poświęcono by spotkaniu Stalina i Sikorskiego w Moskwie. Sikorski jest oczywiście bardzo znaczną osobistością (very considerable man). Zaryzykował on ze swoimi przyjaciółmi i kolegami osiągnięcie porozumienia z Z.S.S.R. i zdobył się na realizm odwiedzenia Moskwy oraz osiągnięcia jeszcze pełniejszego porozumienia ze Stalinem. Urzędowy komunikat z Moskwy, wydany po rozmowie Stalin–Sikorski, każe myśleć o czymś większym niż jedynie o zagrzebaniu w ziemi topora wojennego i o układach co do wyekwipowania Polaków w Z.S.S.R. do walki razem z czerwoną armią. W mowie swojej wygłoszonej w obecności Stalina i widocznie za jego aprobatą Sikorski mówil o przymierzu opartym na wzajemnym uznaniu " suwerennosci i instytucyj " obu stron, a komunikat bierze pod uwage (envisaged) stały układ, któryby miał utrzymywać pokój we wschodniej Europie. Wyobrażam sobie, że szczegóły granic, linja Curzona i tak dalej zostawione by były na okres po zakończeniu walk; jasne jest, że zarówno Polacy jak i Rosjanie gotowi są do bardzo twardej polityki wobec "hitlerowskich Niemiec" i jest możliwe, że oba kraje biorą pod uwagę hegemonję sowiecką nietylko nad wschodnimi Niemcami, lecz nad całą południowo wschodnią Europą. W prostym języku angielskim układ zdaje się mówić: "będziemy walczyć razem aż do zwycięstwa; Rosja składa obietnicę co do polskiej niepodległości (Russia promises Polish independence) i na podstawie tego porozumienia uznajemy, że Z.S.S.R. będzie przeważającą potęgą w całej wschodniej Europie (dominating Power throughout Eastern Europe)."

W powyszych uwagach tygodnika, "The New Statesman and Nation" znalazł się zapewne jeden tylko błąd techniczny, a mianowicie zamiast o hegemonji sowieckiej nad wschodnimi Niemcami powinno być prawdopodobnie "nad wschodnią Europą." Ale i tak uwagi te nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że lewicowe koła angielskie zrozumiały ostatnie deklaracje i przemówienia Gen. Sikorskiego w Moskwie zupełnie niezgodnie z polskim interesem narodowym. W znacznej mierze jest to wynikiem frazeologji zastosowanej w Moskwie. Czy są jeszcze jakieś inne powody, któreby mogły publicystę angielskiego utwierdzić w jego mniemaniu — trudno nam w tej chwili pisać. Zgodne ułożenie się stosunków polsko-rosyjskich jest zawsze możliwe i pożądane, jednakże nie na zasadach hegemonji, lecz jedynie dobrego sąsiedztwa.

Z ŻYCIA CZESKOSŁOWACKIEGO W W. BRYTANII

CZESKOSŁOWACKA RADA STANU.

Czeskosłowacka **"Statni Rada"** (czyli Rada Stanu, lub, jeśli kto woli; Rada Państwowa, choć to brzmi gorzej po polsku) w obecnej swej postaci datuje się od kilku tygodni. Składa się ona z 38 członków, wśród których "ex officio" znajdują się wszyscy członkowie Rządu z premierem ks. Sramkiem na czele. W skład jej weszło m.i. 4 komunistow (2 Czechów, 1 Słowak, 1 Niemiec). Zamierzona jest nominacja przez prezydenta Benesza kilku dalszych członków Rady, m.i. przedstawiciela Niemców sudeckich. W tych warunkach liczba członków Rady przekroczy 40 osób.

Prezydent Benesz zamianował również nowe prezydium Rady. W miejsce p. Rudolfa Bechyne, socjal-demokraty, przewodniczącym został p. Prokop Maxa, b. "legionarz" czeski w poprzedniej wojnie i b. wiceprzewodniczący Czeskosłowackiej Rady Narodowej w Rosji w tym czasie.

Wiceprzewodniczącymi mianowąni zostali pp. ks. Paweł Machacek (Słowak), Bohumil Lausman, dr Vladimir Klecanda (profesor Uniwersytetu Karola w Pradze) i dr Jan Pauliny — Toth. W miejsce p. Lausmana, który nominacji na wiceprzewodniczącego nie przyjął, mianowany będzie zapewne kto inny.

Zreorganizowana Rada zebrała się po raz pierwszy d. 25 listopada i wysłuchała przemówienia prezydenta Benesza.

PRASA CZESKOSŁOWACKA

Prasa czeskosłowacka w Wielkiej Brytanii obejmuje 5 czasopism w języku czeskim. Są to "Cechoslovak," "Nase Noviny." "Nasa Svoboda," "Mlade Ceskoslovensko" oraz miesięcznik literacko-artystyczny "Obzor."

Z pism tych największą rolę odgrywa tygodnik **"Cechoslovak,"** zbliżony do kół obecnego Rządu Czeskosłowackiego, a redagowany przez p. Bohusza Benesza, bratanka Prezydenta Republiki. "Cechoslovak," ukazujący się w objętości 8–12 stron formatu dziennika, jest pismem żywo i umiejętnie redagowanym. Zamieszcza też sporo zdjęć fotograficznych, głównie dotyczących życia czeskosłowackiego w Wielkiej Brytanii. Pismo informuje obszernie o sprawach polskich — nie ma prawie numeru, który by nie zawierał jednego lub kilku artykułów i wzmianek z tego zakresu, — i prowadzi żywą propagandę na rzecz zbliżenia polsko-czeskosłowackiego. Jednym z jej przejawów było specjalne "polske cislo" "Cechoslovaka" (nr. 47 a d. 21 listopada rb.), o którym pisaliśmy już w poprzednim numerze "Myśli Polskiej."

Jak gdyby literacko-artystycznym uzupełnieniem "Cechoslovaka" jest miesięcznik **"Obzor,"** ukazujący się w estetycznej szacie zewnętrznej.

Dla armii czechosłowackiej w W. Brytanii przeznaczone jest czasopismo **"Nase Noviny."**

"Nasa Svoboda" jest miesięcznikiem, wydawanym przez Rudolfa Bechyne, b. przewodniczącego czeskosłowackiej Rady Stanu, jednego z przywódców czeskiej Socjalnej Demokracji (inny wybitny członek tego stronnictwa, Zdenko Fierlinger, jest, jak wiadomo, posłem czeskosłowackim w Moskwie). "Nasa Svoboda" ma charakter opozycyjny wobec obecnego Rządu Czeskosłowackiego.

'Mlade Ceskoslovensko — pismo, które początkowo wychodziło w odbitce hektografowanej, obecnie zaś jest drukowane,— jest organem komunistycznym. Uznaje on rząd i władze Republiki Czeskosłowackiej w Londynie; jak wiadomo zresztą ostatnio w skład czeskosłowackiej Rady Stanu weszło 4 komunistow (2 Czechów, 1 Słowak, 1 Niemiec).

Poza tymi czasopismami w języku czeskim ukazują się jeszcze dwa pisma, poświęcone obronie interesów Czechosłowacji w języku angielskim.

Pierwszym z nich jest znakomicie, w ostatnich czasach, redagowany dwutygodnik **"The Central European Observer,"** wychodzący już od dłuższego czasu. Omawia on nie tylko sprawy czeskosłowackie, ale w ogóle sprawy krajów Europy środkowej. Informuje często o sprawach polskich, a w dziale recenzyj obszernie omawia książki w języku angielskim, dotyczące Polski.

Obok niego ukazuje się miesięcznik **"The Spirit of Czechoslovakia."** Pismo to w maju rb. wydało specjalny, bogato ilustrowany numer, poświęcony Polsce, pod dewizą **"Poland Will Rise Again."** Na pierwszej ego stronie, pod fotografią zniszczonego Zamku Królewkiego w Warszawie i Kolumny Zygmunta, zamieszczono słowa zmarłego Prezydenta Masaryka: "Bez wolnej Polski nie będzie wolnych Czech, bez wolnych Czech nie będzie wolnej Polski."

(x)

PROBLEM ŚLĄSKI W STOSUNKACH POLSKO-CZECHOSŁOWACKICH

Czasopismo czechosłowackie "Nasze Nowiny." przeznaczone dla wojska czechosłowackiego w W. Brytanii, zamieściło dnia 28 listopada 1941 artykuł wstępny pod powyższym tytułem. Artykuł zajmuje się problemem Śląska na tle rozprawki o tym zagadnieniu, ogłoszonej niedawno w "Polish Fortnightly Review," czasopiśmie w języku angielskim wydawanym przez oficjalne koła polskie w Londynie. Opuszczamy cały wstęp czeskiego artykułu, streszczający polską rozprawkę, i cytujemy resztę, poświęconą rozumieniu problemu z czeskiego punktu widzenia:

"W trakcie rozważań jest kilkakrotna wzmianka o terytorium, które należało przed Monachium do CSR, a przecież w konkluzji artykułu żąda się bez wyjątku przydzielenia **całego** przemysłowego zagłębia do Polski. Polska tym artykułem publicznie stwierdza, swoje pretensje do całego górnośląskiego zagłębia, włącznie z naszym terytorium, utraconym w roku 1938, a co zatem idzie nikt nie może być dotknięty, kiedy i z naszej strony jednostka prywatnie zajmie swoje stanowisko — w stosunku do stanowiska i żądań polskich.

Każdy Czechosłowak uznaje z pewnością **w zasadzie** racjonalność polskiego stanowiska, ponieważ do wyżej wymienionych powodów dochodzi jeszcze dalsza przyczyna, która wypływa bezpośrednio z artykułu: że w tym samym stopniu w jakim osłabią się wojskowo Niemcy przez oderwanie Górnego Śląska, o tyleż wzmocni się gospodarcza i wojskowa siła tego, komu dane terytorium przypadnie. Z naszego czysto czechosłowackiego, stanowiska jesteśmy żywotnie zainteresowani w silnej Polsce, a to, aby mogła przeciwstawiać się naszemu wspólnemu wrogowi— Niemcom. Będziemy więc w tym celu Polskę popierać we wszystkim, ale z jednym wyjątkiem, że się to nie będzie działo na nasz rachunek.

CSR ma z Polską tak wiele wspólnych pierwszorzędnych zainteresowań, że należy ufać, że te zainteresowania wezmą górę i pomogą wyrównać mniejszego kalibru nieporozumienia, z których najbardziej zaogniona jest kwestja Śląska, która przy dobrej woli obu stron da się przez odpowiednie rozwiązanie również usunąć.

CSR ma też pretensje do części Górnego Śląska i jego przemysłowego zagłębia, ponieważ ma identyczne powody, jak i Polska. Ponieważ:

(a) Śląsk należał do ziem Korony Czeskiej aż do roku 1745;

(b) Czesi, zwani Morawcami, mieszkają w południowej części Górnego Śląska, a utrzymali się tam pomimo silnej germanizacji aż do dzisiaj,

(c) czsł. przemysł, nawet w czasach przedmonachijskich, był zależny od wegla górnośląskiego, który corocznie był do nas dowożony w b. znacznej ilości, i to podczas największego nawet u nas kryzysu węglowego, a przytem nasze życie gospodarcze i w przyszłości będnie tego węgla potrzebować.

Do zatrzymania niemieckiej ekspansji na wschód, oprócz potężnej Polski, jest konieczna i silna CSR, a do czego przyczyniłoby się również przyłączenie części górnośląskiego zagłębia przemysłowego. —

Na naszym terytorium, zabranym przez Polskę w r. 1938, wg. statystyki z r. 1930 było ponad 120.000 Czechów na 79,000 Polaków. Tu nie da się mówić o polskim charakterze ziemi i każdy Czechosłowak uważa za rzecz oczywistą, że te kraje powrócą znowu do CSR, ponieważ Monachium i wszystko, co z tym jest związane Alianci już więcej nie uznają. Ponadto Polska w odniesieniu do swoich wschodnich granic, odwołuje się do stanu, wytworzonego przez pokój ryski, a więc analogicznie należy to odnieść i do Cieszyńskiego.

Nie możemy sobie wyobrazić, żeby miało to leżeć w interesach csł.-polskiej współpracy —forsowanie oderwania od naszego państwa najbardziej przemysłowej części Cieszyńskiego, gdzie znaczna część naszego przemysłu, zwłaszcza wojskowego, jest życiowo zależna od źródeł. W ten sposób znowu jątrzyłyby się stare spory i mógłby się znowu powtórzyć rok 1921, kiedy w zatargach o Cieszyńskie zyskał ten trzeci. — t.j. Niemcy. Wtedy to Polska z powodu kwestii cieszynńskiej osłabła w swoich zainteresowaniach, dotyczących Prus Wschodnich, które przecież przypadły całe Niemcom. Niezmniejszone w ten sposób Prusy mogły stać się niemiecką bazą wypadową, a okrążały strategicznie Polskę od północy, za co przecież w r. 1939 Polska tak wiele zapłaciła.

Należałoby skorzystać z tych doświadczeń, ale w sensie odwrotnym, t.j. aby sporna śląska kwestja między CSR a Polską była zlikwidowana na rachunek trzeciego. Zgodnie z zasadą wojenną o głównym parciu (naporze) należałoby wspólnym zgodnym czechosło wacko-polskim wysiłkiem działać w kierunku pozyskania Górnego Śląska dla obu państw.

W ten sposób dałoby się osłabić Niemcy przez oderwanie przemysłu, i obniżyć ich potencjał przemysłowy, a ponadto usunęłoby się, albo przynajmniej zmniejszyło niemieckie strategiczne kleszcze z Prus Wschodnich, obejmujące Polskę od północy, a CSR od południa. Wreszcie zabezpieczyłoby się w ten sposób przemysł wojenny śląskiego przemysłowego zagłębia zarówno należący do CSR, jak i do Polski. Brak pewności w kwestji śląskiej niędzy CSR a Polską wyjdzie znowu na korzyść trzeciego, będącego nadomiar głównym wrogiem obu państw. Naodwrót przez zgodny wysiłek mogą obydwa państwa tylko zyskać, z ponadto mogłyby się poważnie rozszerzyć przesłanki dla czchsł.-polskiej współpracy.

Żądanie przez Polaków całego górnośląskiego zagłębia — włącznie z b. terytorim CSR — podane publicznie po angielsku dla orjentacji wszystkich Aliantów bynajmniej nie wzmacnia pomiędzy Czechosłowakami podstaw (warunek-podminak) do ścisłej współpracy z Polską, której pragniemy serdecznie z całego serca."

Tyle piszą o śląskim zagadnieniu "Nasze Nowiny." Należy się wdzięczność autorowi cytowanego artykułu za odważne oświetlenie tych spraw z czeskiej stromy. Nie zamierzamy tu wszczynać dyskusji, dla której znajdzie się zapewne odpowiedniejsze forum, nie możemy jednak odmówić sobie skreślenia, także prywatnie, kilku uwag z równą szczerością i życzliwością.

Niestety, szanowny autor artykułu w "Naszych Nowinach," nie wyszczególnia dokładnie, kiedy mówi o Górnym Śląsku w szerszym tego słowa znaczeniu i w odróżnieniu od Śląska Dolnego, wrocławskiego, a kiedy tylko o tej jego części, która ostatnio należała do Rzeszy niemieckiej. Dla Polski jednak zagadnienie tego Górnego Śląska dzieli się na trzy osobne kategorie:

(a) O tej części Górnego Śląska, która należała i należy prawnie dotąd do Polski, Polska z nikim rozmów prowadzić nie będzie. Po zwycięskiej wojnie kraj ten ze swoją czysto polską ludnością po prostu znajdzie się w Polsce. Poza Polakami była tam nieznaczna, choć silna ekonomicznie, mniejszość niemiecka, ta jednak zostanie usunięta.

(b) Śląsk zaolzański. Pomimo powołania się szanownego autora na czechosłowacki spis ludności z 1930 r. nie możemy zgodzić się z jego zdaniem. że ziemia ta nie ma charakteru polskiego. Nie przeczymy, że w historycznych granicach tego kraiku są okolice z większością czeską, których nikt by do Polski przyłączać nie chciał, ale z drugiej strony nie Czesi przecież ale Polacy wybierali stamtąd na Sejm Republiki czechosłowackiej w Pradze posłów polskich. Lepiej będzie jeżeli przedstawiciele tej ludności polskicj zasiadać będą nie w Pradze, ale w Warszawie, chyba że zostaną wydelegowani z Polski na wspólne posiedzenie Sejmów obu państw w Pradze.

(c) Ta część Górnego Śląska, która przed wybuchem ostatniej wojny należała do Niemiec — Śląsk Opolski. Sprawa tej ziemi nie jest dla Polski wyłącznie kwestią osłabienia Niemiec i równoczesnego wzmocnienia Polski, jest to kwestia powrotu do Polski starej polskiej krainy i za tę ideę Ślązacy z Opolskiego już w naszych czasach wiele krwi wylali. Te rzeczy też decydują. Oczywiście, czeskie aspiracje do tych części Opolskiego Śląska, na których mieszka ludność pochodzenia morawskiego, spotkają się z dużą życzliwością opinii polskiej i powinny się spotkać z całkowitym poparciem polskiej polityki. Mówiąc tu "Śląsk Opolski," mamy na myśli całą tę część Górnego Śląska, która aż do wybuchu obecnej wojny pozostawała we władaniu Niemiec.

ZAZDROŚĆ MIĘDZYSŁOWIAŃSKA

Główny organ czechosłowacki w W. Brytanii "Czechosłowak" zamieszcza w numerze z 5 grudnia 1941 dłuższą notatkę — p.t. "Niezrozumiałe zdarzenie" — z żalami do Jugosłowian, że swoją niewielką jednostkę armii lądowej w W. Brytanii umieścili przy armii polskiej w tym kraju, a nie przy czechosłowackiej:

"Jakkolwiek byśmy tę sprawę oglądali i przeglądali, — pisze "Czechosłowak" — w końcu zawsze dojdziemy do jednego i powiemy sobie: nie rozumiemy, jesteśmy rozgniewani, dotknięci — gdyż Jugosłowianie pójdą do Polaków, a nie do nas."

W dalszym ciągu autor artykułu w "Czechosłowaku" opowiada o więzach łączących obie armie w przeszłości, o udziale Czechów w wojnach bałkańskich w armii serbskiej, o współdziałaniu w czasie pierwszej wojny światowej i o manifestacjach w okresie Monachium i twierdzi, że gdyby Czesi mieli przed sobą podobny wybór, poszliby do armii jugosłowiańskiej. Notatka kończy się stwierdzeniem, że kiedy Czechosłowacy i Jugosłowianie znaleźli się w jednym kraju razem, wtedy Jugosłowianie wstąpili wprawdzie do sprzymierzonej i słowiańskiej armii, "ale nejsou bezprostredne mezi nami."

Oczywiście nie zamierzamy tu tłumaczyć, dlaczego Jugosłowianie poszli do armii polskiej, a nie do czechosłowackiej, bo nie nasza to rzecz. Nie bierzemy też kołom czeskim za złe notatki napisanej z takim uczuciem żalu i zawodu, jakie może być tylko w ścisłych stosunkach rodzinnych. Ale czy nie jest dobrze, że Jugosłowianie rozszerzają praktycznie swoje zasięgi słowiańskiego braterstwa? Słowiańszczyzna na tym tylko zyskać może, a Czesi i Słowacy napewno nie stracą, jeżeli i Polacy rozszerzą swoje słowiańskie horyzonty. Z drugiej zaś strony nie tylko Jugosłowianie są w armii polskiej ale i Czechosłowacy — w Tobruku. Z dużą satysfakcyą i sympatią czytamy w poprzednim numerze tegoż "Czechosłowaka" taki telegram od dowódcy jednostki czechosłowackiej w Tobruku do Prezydenta Benesza:

"W imieniu oficerów i żołnierzy dziękuję Panu, Panie Prezydencie, za telegram i słowa zachęty. Jesteśmy dumni i szczęśliwi, że możemy wziąć udział w obronie twierdzy Tobruku pod naczelnym dowództwem wielkiego brytyjskiego sprzymierzeńca i **jako część dzielnych polskich sił.**"

WOJSKO I OBYWATELSTWO

W poważnym londyńskim lewicowym tygodniku "The New Statesman and Nation" odbyła się ciekawa dyskusja, którą warto zanotować. Mianowicie w numerze tego pisma z 25 października b.r. ukazał się artykuł autora podpisanego S. Sydney Silverman pod tytułem **"Allied Conscription"**— "Pobór do wojska obywateli państw sprzymierzonych." P. Silverman wskazuje na trudności zarysowujące się, gdyby parlament brytyjski uchwalił ustawę o pozwoleniu wygnańczym rządom sprzymierzonym w W. Brytanii na stosowanie przymusu wobec obywateli tych państw, którzy jeszcze nie zgłosili się do służby pod własną chorągwią. Przytoczymy tu główną część artykułu :

"Jest w tej sprawie trudność i niesprawiedliwość zasadnicza, której jak mam nadzieję — rząd brytyjski zechce uniknąć. Zastosować wymienioną wyżej zasadę do poboru wojskowego bez równoczesnych drastycznych zabezpieczeń — znaczyłoby to nadać rządom sprzymierzonym na wygnaniu władzę, którejby one sprawować nie mogły nawet gdyby pozostawały w warunkach pokojowych u siebie w domu. Jeżeli wezmę jako przykład Polskę, to nie dlatego, że zagadnień, które w tym wypadku się nasuwają, nie można znaleźć gdzieindziej, lecz dlatego, iż je wszystkie znaleźć można tu razem: niektóre z nich w stopniu i w rozciągłości nie do znalezienia w innych wypadkach. Wynik jest tu żywotnego znaczenia dla przyszłości tego nieszczęsnego kraju. W W. Brytanii znajduje się znaczna liczba ludzi, którzy sami uciekli, albo których rodzice uciekli z Polski. **Niektórzy z nich uciekli w latach ostatnich dla racyj politycznych, zawiniwszy może wykroczenia polityczne, dla których dany rząd, nawet w czasach normalnych, nie mógłby zażądać ich wydania.** Wydać owe osoby teraz na zasadzie przymusu ustawy pod nieograniczoną władzę suwerenną rządów, przed którymi one schroniły się tutaj, byłoby to niesamowitym sposobem i niesamowitym rezultatem walki o wolność. Wiele też jest osób, które w ostatnich latach opuściły Polskę nie jako przestępcy lub dyssydenci polityczni, lecz jako uchodźcy przed gorżkim i wedle wszelkich danych niekończącym się prześladowaniem quasi-rasowym lub religinym. Ci ludzie zdecydowani są całkowicie, iż nigdy w armii polskiej służyć nie będą. Opuścili oni Polskę, bo Polska ich, duchowo, wyrzuciła. Zdecydowali się już nigdy Polski nie zobaczyć. Kwapią się oni do walki z Hitlerem i jego hordami nazistowskimi; uznają to za walkę o istnienie cywilizacji. **Lecz dla nich brać udział w tym świętym boju ramię przy ramieniu w armii polskiej z tymi, z którymi nigdy nie dzielili równości obywatelskiej i pod rozkazami ludzi, których w umysłach swoich łączą ze starą antysemicką Polską — było by po prostu świętokradztwem.** Nie uczynią oni tego, jeżeli ich karać więzieniem; nie uczynią tego, wielu z nich, jeżeli by nawet byli rozstrzeliwani za odmowę. Czy to mądrze dla nas stosować przymus? Czy to mądrze z polskiego punktu widzenia? Ze względu na jakiś drobiazgowy konwenans narodowego **amour-propre**! Z wszelką pewnością było by mądrzej z naszej strony i ze strony Polaków powiedzieć tym ludziom: "Żyjcie przeszłością. Wszystko to już umarło. Nowa Polska będzie krajem wolności. Uznajemy jednakże, że duchowe krzywizny, wynikające nieubłaganie ze zbrodni i szaleństwa przeszłości nie mogą być wyprostowane ani łatwo ani szybko — nawet przez najbardziej szczere gwarancje. Walczcie, lecz walczcie, gdzie chcecie. I przyjmijcie ten wolny wybór, który wam dajemy, jako zadatek naszej determinacji, że złe dawne dni już nie powrócą." Myślę, że nic bardziej nie mogłoby się przyczynić do zarysowania perspektywy przyszłej szczęśliwej Polski. Na pewno ludzie owi byliby lepszymi żołnierzami w armii swego wyboru, niż w armii, w której zdecydowani są nie służyć.

Jest wreszcie grupa ze wszystkich najobszerniejsza, do której wszystkie te rozważania również mają zastosowanie. **Są to ludzie, którzy nie mają praktycznych związków z Polską w ogóle i których polska narodowość — z wyjątkiem tego, że polskie władze uprawnione są do określamia jej — jest w każdym razie wątpliwa.** Są to ludzie urodzeni przed tamtą wojną w kraju, który teraz jest Polską, albo których rodzice tam się urodzili. Nigdy oni nie byli w Polsce, albo przynajmniej od najmłodszych lat. Nie umieją po polsku. Nie mają w Polsce przyjaciół ani krewnych. Polska jest dla nich tylko pojęciem geograficznym. Znam takiego. Wywieziono go do Wiednia, kiedy miał dwa lata. Kiedy miał lat 27, ujęty został przez Nazistów i przewieziony z tysiącami innych w bagna na granicy Polski i Prus. Wypędzony został przez Niemców jako Polak; zaprzeczono mu prawa wejścia do Polski dlatego, że nie był Polakiem. Żył tam przez wiele miesięcy w warunkach nędzy nie do opisania. Następnie wydostał się do Londynu, żył tu parę lat. Ostatnio aresztowany tu został przez Polaków i wcielony do polskiego wojska. Wydostałem go stamtąd, ponieważ Polacy przekroczyli swoje uprawnienia. Jednakże nieograniczona władza poboru dawałaby Polakom prawo do wcielenia tysięcy takich osób.

Jedynym poprawnym sposobem załatwiania takich zagadnień jest dać każdemu w takiej sytuacji nieskrępowane prawo wybrania na to to miejsce armii brytyjskiej: naturalnie w jednostkach liniowych. Żadne inne rozwiązanie nie załatwia sprawy w dzisiejszych warunkach. Środek ten powinien przewidywać te same ulgi, odroczenia i apelacje, jakie przewiduje prawo angielskie, zagwarantować, iż kary nie będą surowsze, niż nasze i zapewnić, żeby sporne kwestie jurysdykcji decydowane były przed naszymi sądami."

Na ten artykuł odpowiedział listem opublikowanym w "The New Statesman and Nation" z 15 listopada Polak, p. Henryk Ruziewicz.

"Zgadzam się z p. Silvermanem — pisze p. Ruziewicz — iż nie było by to również w interesie armii polskiej mieć w swoich szeregach **żołnierzy niechętnych, którzy by czuli się obcy wobec Polski.** Uważam przeto, iż było by błędem nastawać na włączenie takich osób do armii polskiej. Co więcej, związek jednostki z państwem mieści w sobie nie tylko obowiązek służby wojskowej, lecz także o wiele szerszą sferę życia osobistego i społecznego. Nie mogę więc sobie wyobrazić, żeby państwo mogło pozwalać swoim obywatelom na służbę w obcej, chociażby nawet sprzymierzonej armii i równocześnie dawać im pełne prawa obywatelstwa oraz pomoc, którą nawet dziś, w trudnych warunkach emigracyjnych, otrzymują polscy obywatele. Neutralne państwa mogą pozwolić obywatelom na służbę w wojskach cudzoziemskich, nie mogą czynić tego państwa, które same są w wojnie.

"Jedynym wyjściem z tej sytuacji wydaje mi się uchwalenie ustawy umożliwiającej cudzoziemcom pragnącym służyć w armii brytyjskiej otrzymanie po wojnie bez trudności obywatelstwa brytyjskiego. (Podobne urządzenie funkcjonowało we Francji.) Gdyby to uczyniono, obywatele polscy, których ma na myśli p. Silverman. a którzy nie skłaniają się ku Polsce i zatrzymali polskie obywatelstwo tylko dlatego, iż nie mogli otrzymać innego — wstępowaliby chętnie do armii brytyjskiej. Gdyby ustawa taka miała być uchwalona, rzecz jasna obywatele owi nie byliby pociągani do służby w wojsku polskim. Nabywaliby oni następnie obywatelstwo brytyjskie i w tym samym czasie zwalniani by byli z obywatelstwa polskiego. Byłoby to praktyczne i odpowiednie rozwiązanie nie tylko dla Polski, lecz i dla W. Brytanii."

Ustawodawstwo polskie, znając dobrze wszystkie przez p. Silvermana wymienione kategorie emigrantów z Polski, ułatwiało im pozbycie się ciężaru obywatelstwa Rzeczypospolitej. Niestety, obecny rząd polski zamierza nadal, niewiadomo w jakim celu i ku czyjemu zadowoleniu, podtrzymywać fikcję polskości tych, którzy Polski i jej wojska znać nie chcą. Więcej o tym w listach do Redakcji.

POLONICA W PRASIE ŻYDOWSKIEJ

Wychodząca w Londynie gazeta "the City and East London Observer" wprowadziła u siebie całostronicowy dodatek p.t. "The Polish Jewish Observer." Pierwsza tego rodzaju stronica z daty 5 grudnia 1941 zgromadziła interesujący materiał. Jest tam i artykuł wstępny i szereg wiadomości z Polski i ze Sowietów dotyczących żydostwa. Do istotniejszych wiadomości należy notatka o ukazaniu się w Stanach Zjednoczonych nowego pisma w języku angielskim i w żargonie p.t. "Polish Jew." W piśmie tym zamieścił odezwę prezes t.zw. Federacji Żydów polskich w U.S.A. p. Winter, który tak m.i. pisze:

"Musimy usiłować przezwyciężyć trudności polityczne chwili obecnej i poczynić przygotowania na okres, kiedy realizowane będą zapewnienia o pełnych i nienaruszonych prawach równości dla Żydów w Nowej Polsce. To zobowiązanie, udzielone przez polskiego premiera generała Sikorskiego, będzie musiało być dotrzymane na zbliżającej się konferencji pokojowej, na której kontrolę wykonywać będą zwycięskie demokracje. Musimy nastawać na konkretne zagwarantowanie tej obietnicy. Głos Żydów polskich w Ameryce jest potężny i wpływowy i dlatego też musimy dążyć do tego, by głos ten był słyszany w miejscach właściwych."

Tyle "Polish Jew" w Ameryce. Powstaje jednak pytanie, dlaczego wpływy żydowskie w Ameryce, skoro są tak potężne i rozległe, nie przyczyniły się odpowiednio do wcześniejszego postawienia Ameryki na stopie wojennej. Albo te wpływy nie są tak potężne, albo też używane są w niewłaściwym kierunku. Zagadnieniem w tej chwili najważnieiszym jest wygrać tę wojnę.

DYSKUSJA ŻYDOWSKA O POLSCE

W tygodniku żydowskim londyńskim "The Jewish Standard," który jest organem Nowej Organizacji Sjonistyczne (t. zw. rewizjonistów) ukazało się sprawozdanie z referatu dr. I. Schwarzbarta wygłoszonego w Związku Żydowskich Dziennikarzy i Pisarzy na temat "Zagadnienie żydowskie w Polsce." Cytujemy The Jewish Standard:

"Dr. Schwarzbart rozpoczął długie przemówienie pochwalając krytycyzm, którego musi oczekiwać każdy działacz społeczny. Zarysował on obraz życia żydowskiego w Polsce podczas ubiegłych lat dwudziestu podkreślając fakt, że antysemityzm praktywano w Polsce "de facto" tylko, a nie "de iure" jak w Niemczech. Na nieszczęście szerokie koła w Polsce, które były przeciwne antysemityzmowi, były zbyt bierne w przeszłości, leca teraz są czynne w zwalczaniu antysemityzmu gdziekolwiek podniósł by głowe, czy to w Polskiej Radzie Narodowej w Londynie, czy też w Armji. On, mówca, był sam pomocny przy postaraniu się (had been instrumental in securing) o — rozkaz dzienny zakazujący antysemityzmu w Polskiej Armji.

Słabość ludu żydowskiego, uświadomiona sobie teraz przez wszystkich, jest powodem wielkich trudności przy nastawaniu na żydowskie żądania z takim naciskiem, jakiego wymagają krytycy mówcy. On jednakże postarał się o niemniej niż trzy deklaracje, gwarantujące równość obywatelską dla Żydów w Polsce. Trzeba sobie jednak zdawać sprawę, oświadczył Dr. Schwarzbart ku pewnemu zdziwieniu, że Rząd polski i całość polskiej emigracji nie są bynajmniej przedstawicielami polskiego narodu (was by no means representative of the Polish people), a jedynie "bardzo wąskim szczytem piramidy której podstawa jest ciągle w Polsce." Powstaje więc kwestja czy będzie możliwe 'obrócić wstecz koło historji" i wytworzyć w Polsce ten demokratyczny stan umysłów, któryby Żydom pozwolił żyć w wolności i bezpieczeństwie? On, mówca, proklamuje swoją głęboką wiarę w całkowitą przemianę polskiej umysłowości. — "Credo quia absurdum est" (wierzę ponieważ to absurd).

Mowa pomimo doskonałej retoryki przyjęta była chłodno i wszyscy liczni dyskutanci, z wyjątkiem jednego, wyrazili następnie niezgodność z poglądami dr. Schwarzbarta.

Mr. A. Abrahams (polityk rewizjonistyczny — przyp. M.P.) spotkał się z powszechnym uznaniem kiedy wskazał, że ten długi przegląd historycznej już przeszłości, i to specjalnie przed audytorium złożonym z dziennikarzy, nie pomógł wiele w przybliżeniu się do rozwiązania problemu. Zakwestjonował on wartość deklaracyj, które nie dają niczego lecz stwarzają jedynie iluzje; miałoby o wiele większe znaczenie, gdyby się pomogło stworzyć owe przedmiotowe warunki, któreby umożliwiły przyszłemu Rządowi polskiemu wypełnienie jego gwarancyj, a natomiast byłoby lepiej zaniechać deklaracyj.

Dr. Harry C. Schnur, wyraziwszy uznanie wielkiemu dziełu humanitarnemu dokonanemu przez Dr. Schwarzbarta na rzecz żydowskich uchodźców z Polski oświadczył że wątpi w mądrość wierzenia w "absurdy" i w cudowną przemianę natury ludzkiej jako podstawę polityki. Rozróżnienia między prześladowaniem "de iure" i "de facto" są o tyle złudne o ile subtelne: w każdym razie odczuliśmy ciosy "de facto". Dr. Schwarzbart twierdzi, że jest syjonistą; czy zechciałby wyjaśnić, jak może on oddzielać problemy żydostwa w Polsce od problemów żydostwa światowego i Palestyny? Skąd miałaby przyjść masowa imigracja, której się domaga Dr. Schwarzbart: z Londynu, Nowego Yorku czy z Polski? Dlaczego zatem Dr. Schwarzbart sprzeciwiał się masowej ewakuacji żydowskiej z Polski do Palestyny?

Inni mówcy kwestionowali tytuł Dr. Schwarzbarta do przemawiania w imieniu żydostwa polskiego, którego szerokie koła nie uznają go jako swego rzecznika. Jeszcze inny mówca, który oświadczył się jako zwolennik dr. Schwarzbarta, tym niemniej czuł się zmuszony do wskazania, że zakaz działalności antysemickiej w polskim wojsku nie jest identyczny z wyplenieniem antysemickiego ducha.

W roznamiętnionej replice pod adresem swoich krytyków Dr. Schwarzbart podkreślił trudności, którym musiał stawić czoło i które niekiedy uniemożliwiały mu dopuszczenie ogółu żydowskiego do szczegółów wymagających poufności (made impossible for him to take the Jewish public into his confidence). Oświadczył następnie, że wobec późnej godziny w jakimś późniejszym terminie rozprawi się z wielu zarzutami podniesionymi w dyskusji."

GENERAŁ HALLER W SYNAGODZE

Wspomniany już w niniejszym przeglądzie prasy "The City and East London Observer" zamieszcza w swoim dodatku "The Polish Jewish Observer" następujący artykulik p.t. "General Haller in the Synagogue."

"Niedźwiedź polarny na Saharze mniejszą by sprawił niespodziankę, niż gen. Haller zjawiając się w synagodze na Stamford Hill. Generał przyszedł na nabożeństwo do żydowskiej synagogi, urządzone przez Żydów polskich w Londynie ku uczczeniu polskiego dnia Niepodległości w dniu 16 listopada. Ceremonia była prosta, lecz potężna. Wzięła w niej udział duża gromada wybitnych Polaków i kilka setek Żydów. Ława frontowa zajęta była przez prof. Strońskiego, polskiego ministra Informacji, p. Zaleskiego, b. polskiego ministra Spraw Zagranicznych, który reprezentował Prezydenta Polski, i przez innych dygnitarzy.

Obecni wdzięczni byli Radzie Polskich Żydów w Wielkiej Brytanji za urządzenie nabożeństwa. Była to demonstracja solidarności między Żydami i nie-Żydami w walce o Niepodległą Polskę. Lecz jakkolwiek ceremonia była imponująca, wielu Żydów nie mogło się otrząsnąć z wrażenia co do obecności Gen. Hallera.

Nazwisko Gen. Hallera jest prawie przysłowiowe wśród Żydów nie tylko w Polsce lecz na całym świecie. Generał Haller jest dobrym żołnierzem i gorliwym katolikiem. Jednakże obie te świetne właściwości nie przejawiały się w żołnierzach pod jego dowództwem. Dawno temu urządzili oni szereg antyżydowskich rozruchów i z tych powodów imię jego stało się prawie synonimem antysemityzmu. Kiedy niedawno posłano go z misją do U.S.A., Żydzi tamtejsi zaniepokoili się bardzo i demonstrowali przeciw niemu. On kategorycznie zaprzeczał, że jest antysemitą. Lecz Żydzi pozostali sceptyczni i nieprzekonani.

Mówią jednakże, że się zmienił. Zjawienie sie jego w synagodze zrozumiane zostało przez niektórych jako możliwy symbol tej zmiany. Osoby zbliżone do niego wyjaśniały, iż tak jak wielu innych Polaków, Generał przejrzał. Zobaczył on zagadnienie żydowskie we właściwej perspektywie i uświadomił sobie potrzebę lepszego wzajemnego zrozumienia. Bez wątpienia w dniu tym w synagodze miał on przed sobą przekonywujący dowód, gdyby dowód był potrzebny, prawdziwego przywiązania Żydów do ich kraju."

Z wydawnictw

BARDZO WARTOŚCIOWA KSIĄŻKA

A New Polish Grammar (by J. A. Teslar, Foreword by Prof. W. J. Rose, Publ. by Oliver & Boyd, Edinburgh, 1941, Price 12/6) jest podręcznikiem wysokiej klasy, który każdy Polak może polecić swemu angielskiemu przyjacielowi bez narażania go na rozczarowanie. Oto co o tej sporej książce (str. XXIII i 336) pisze angielski przyjaciel "Myśli Polskiej," który uczy się polskiego języka i dawno już szukał odpowiedniej pomocy podręcznikowej:

"Ta nowa "Gramatyka Polska" jest zdecydowanie najbardziej wartościowa z tego rodzaju książek. Jej układ wskazuje jasno zarówno na duże doświadczenie nauczycielskie autora, jako też na gruntowne wyszkolenie naukowe, które mu posłużyło w tej pracy. Obie te zalety pozwoliły autorowi oddać nauczaniu języka polskiego w tym kraju bezcenną usługę i zaradzić wielu trudnościom, które inaczej byłyby nie do uniknienia i zniechęciłyby najprawdopodobniej ucznia na samym początku.

Wszyscy zamierzający uczyć się języka narodu, który wypisał na swoich sztandarach słowa "Za naszą wolność i waszą," mogą zawierzyć całkowicie doświadczonemu przewodnictwu, które ofiaruje im ta książka. Doznają oni w czasie względnie niedługim ogromnej satysfakcji, którą im dadzą rezultaty uczenia się z tego podręcznika.

Książka ta — równej wartości zarówno dla ucznia bez żadnej wiedzy początkowej o przedmiocie, jako też i dla bardziej zaawansowanych w studium, przyczyni sie — jeżeli będzie dostatecznie rozpowszechniona — bardzo skutecznie do wykucia ściślejszej łączności między Polską i tym krajem po zakończeniu obecnego tragicznego konfliktu światowego."

Mimochodem

Mr. "X"

Gazety londyńskie z 10 grudnia b.r. doniosły o niezwykle ciekawym procesie, który się toczył przed sądem karnym przy Marlborough-street, W., o szantaż. Oskarżycielem prywatnym był Mr. X, jak dzienniki podają, "zamożny polski uchodźca," zatrudniony przez jednego z członków polskiego rządu w Wielkiej Brytanii (he had been employed on the staff of a member of the Polish Government in this country). W imieniu jego występował adwokat Mr. Melville. Sam Mr. X jest mieszkańcem jednego z najbardziej eleganckich na całym świecie hoteli — londyńskiego Grosvenor House przy Parklane. Po inwazji Polski w 1939 r. uciekł do Stanów Zjednoczonych, skąd przybył tu około rok temu. Oskarżona ma lat 33, nazywa się Maureen Van Pelz i jest rozwódką.

Oskarżona szantażowała oskarżyciela na tle ich stosunku osobistego, a kiedy argumenty stąd czerpane zaczęły tracić skuteczność, oskarżona skradła z kieszeni oskarżyciela spędzającego noc w jej mieszkaniu "a confidential document which he had prepared for a member of the Polish Government."

Nie będziemy zbyt szczegółowo przedstawiać Czytelnikowi tę osobliwą sprawę. Wyliczyliśmy ze sprawozdania londyńskiej gazety, że Mr. X wręczył pod groźbą szantażu swojej partnerce w ciągu jakiego pół roku co najmniej **trzy tysiące dwieście siedmdziesiąt funtów szterlingów i wartościową biżuterię.** Sielanka ta rozbiła się o dalsze marne parę tysięcy funtów, których Mr. X już nie chciał dać, udając się pod opiekę adwokata.

W związku z tą sprawą "Dziennik Polski" ogłosił 13 grudnia b.r. notatkę p.t. "Plotka," że oskarżyciel "nie był ani nie jest urzędnikiem Państwa Polskiego, ani też tym bardziej nie był ani nie jest w posiadaniu tajnych dokumentów Rządu Polskiego."

...Czy jednak "Dziennik Polski" nie uważa, że społeczeństwu należy się więcej, niż takie gosłosłowne zaprzeczenie? Jeżeli w protokole sądu angielskiego zanotowano, że Mr. X zatrudniony był przez jednego z polskich ministrów, to trzeba sprawę wyjaśnić. Bo wprawdzie Mr. X zdołał ukryć swoje nazwisko przed **publicité** w prasie, **ale za to w tej prasie figuruje Rząd polski i uchodźctwo polskie.** Pytamy:

1. Jeżeli Mr. X nie miał nic wspólnego z Rządem polskim, to dlaczego "Dziennik Polski" nie podał jego nazwiska?

2. Jeżeli Mr. X "nie był ani nie jest urzędnikiem Państwa Polskiego," czego bynajmniej prasa londyńska nie twierdziła, to dlaczego "Dziennik Polski" nie zaprzeczył, że Mr. X był zatrudniony przez jednego z polskich ministrów?

Należałoby także wyjaśnić, czy ten osobnik obładowany walutami i zniesławiający swoimi wyskokami dobre imię polskie w Wielkiej Brytanii, przyjechał tu z pomocą czynników polskich czy bez niej. Ze swej strony bowiem sądzimy, że do R.A.F. w żadnym razie nie przyjechał. Najlepiej było by takie sprawy wyjaśniać **z urzędu** i nie dopuszczać, żeby opinia polska była zbywana ogólnikami. Każdy uczciwy Polak ma prawo, nie do odparcia, domagać się dziś, aby osobnik rzucający funtami w stolicy sprzymierzonego mocarstwa, w czasie tej największej wojny i największej zarazem nędzy polskiej, znalazł się poza nawiasem polskiego społeczeństwa.

P.S. Już po wydrukowaniu powyższych słów ukazały się w prasie londyńskiej sprawozdania z dalszej rozprawy sądowej pana X i pani Van Pelz, w dniu 16 grudnia b.r. Pan X oświadczył, że jest oficerem Polskiej Armii, pracującym dla wicepremiera Rządu Polskiego (Mr. "X" said that he was a Polish Army Officer, working for the Vice-Premier of Poland — Daily Telegraph z 17 grudnia 1941). Wyjaśniał on, że pierwsze 40 funtów dał pani Pelz za złotą papierośnicę.

Obrońca oskarżonej oświadczył, że od chwili wytoczenia oskarżenia Mr. X utrzymuje kontakt z oskarżoną, bywając z nią razem w kinach i na obiadach. Wobec tego sędzia Mr. J. B. Sandbach K.C. ostro skarcił pana X, zapowiadając, że ewentualnie spowoduje wytoczenie mu oskarżenia o usiłowanie uzyskania wpływu na zeznania oskarżonej jako świadka.

Wobec tych nowych elementów w procesie, w którym tajemniczy waluciarz i kolekcjoner złotych przedmiotów ustawicznie powołuje się na swoje stanowisko w kołach polskich i nawet wyraźnie wymienia obecnego kierownika Rządu polskiego i polski Korpus Oficerski — z którym wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest on tylko bardzo luźnie związany — należy się spodziewać, że ukażą się odpowiednie wyjaśnienia, tłumaczące czy to **indywiduum** rzeczywiście ma prawo tak mówić a jeżeli tak, to dlaczego, a wreszcie czy przewiduje się kroki stosowne zarówno co do samego pana X jakoteż uniemożliwiające na przyszłość tego rodzaju okoliczności, żeby przed sądami karnymi brytyjskimi mogło w tego rodzaju zestawieniu padać określenie Rządu Polskiego i Korpusu Oficerskiego.

W trzecią rocznicę zgonu

ś. † p.

ROMANA DMOWSKIEGO

dnia 2 stycznia 1942 r. o godzinie 10 rano w Kościele Polskim w Londynie przy Devonia Road odbędzie się nabożeństwo żałobne, o czym zawiadamia

STRONNICTWO NARODOWE

Listy do Redakcji

RACHUNEK BEZ GOSPODARZA

W jednym ze swoich przemówień radiowych p. min. Mikołajczyk — kiedy nie był jeszcze ministrem — użył zwrotu: "Rachunek bez gospodarza", aby nim określić system zastosowany na ziemiach polskich przez władze niemieckie, rozumiejąc przez to również wszystkie bezprawne ustawy, rozporządzenia i akty, które wydawane pod nieobecność prawdziwego gospodarza — **nie będą go obowiązywać w przyszłości.**

Ten zwrot, jakiego użył p. min. Mikołajczyk (zanim jeszcze został ministrem), przyszedł nam na myśl, kiedy przed kilkoma dniami przeczytaliśmy, że wśród projektów prac rządowych, wymagających już tylko aprobaty Prezydenta Rzeczypospolitej, znajduje się również tekst dekretu znoszącego ustawę o pozbawieniu obywatelstwa polskiego z dn. 31 marca 1938 r.

Jak wiadomo, ustawa ta przewidywała możność pozbawienia obywatelstwa polskiego przez **Ministerstwo Spraw Wewnętrznych,** na wniosek właściwego konsulatu, osób, które przebywając zagranicą:

(1) działały na szkodę państwa polskiego — co obejmowało również szkodę imienia polskiego.

(2) albo — przebywając poza granicami Polski ponad 5 lat — zatraciły kontakt z państwowością polską.

Głównym uzasadnieniem tej ustawy była konieczność ustalenia obywatelstwa polskiego z uwagi na to, że poza granicami Polski przebywały dziesiątki tysięcy obywateli polskich nie będących Polakami, którym obywatelstwo przysługiwało na zasadzie traktatów, lecz których z Polską nie wiązało nic pozą formalnością posiadania paszportu. Co więcej wśród tych osób było wiele międzynarodowowych niebieskich ptaków, szpiegów, oszustów, złodziei, handlarzy żywym towarem oraz wszelkiego rodzaju osobników z kategorii "uciążliwych cudzoziemców" którzy legitymowali się paszportem polskim i ze szkodą dla dobrego imienia Polski byli uważani zagranicą za Polaków.

Obok tych elementów, bynajmniej nie przynoszących Polsce zaszczytu, znajdowały się rówwniez całe rzesze osób narodowości niepolskiej, stale osiadłych zagranicą i zupełnie obojętnych, a często nawet wrogich sprawom Polski (m.i. komuniści). W ostatnich latach przed wojną zachodziło uzasadnione niebezpieczeństwo, że wszystkie te osoby zostaną po prostu wypchnięte do Polski (co się też po części stało) jako obywatele polscy i że w ten sposób staną się one nowym ciężarem dla przeludnionego państwa polskiego.

Osobną wreszcie kategorię stanowili ci "obywatele" polscy zagranicą, którzy pod rozmaitymi pozorami uchylali się od służby wojskowej w Polsce.

W rezultacie tej ustawy pozbawionych zostało obywatelstwa polskiego wielu międzynarodowych gangsterów i dezerterów, a obok nich także spora ilość osób, których moralności nic nie możnaby zarzucić, ale które tak mało były z polskością związane, że w konsulatach polskich porozumiewać się mogły tylko za pośrednictwem tłumaczy. Były to t.zw. "martwe dusze paszportowe".

Ciekawe byłoby wyjaśnić, w interesie której z wymienionych kategoryj nowy Minister Spraw Wewnętrznych zabiega o zniesienie całkowite słusznej ustawy ???

W każdym razie, czy p.min. Mikołajczyk nie sądzi, że ten jego projekt (skoro jest to kompetencja jego resortu) jest właśnie takim **"rachunkiem bez gospodarza",** który nie ma żadnych szans, aby był honorowany w przyszłości? Jeżeli zaś rząd obecny sam o tym nie pomyślał, dziwić się wypada naiwności tych, którzy mu ten projekt podsunęli. Mogliby już znać oni na tyle obyczajowość polską, żeby uświadomić sobie jedno z najbardziej znanych polskich przysłowi: "Obiecanka — cacanka, a głupiemu radośc".

Z wyrazami poważania—

Z.I.

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Adres Redakcji :
92, Eamont Court, Regents Park, London, N.W.8. Tel. : PRImrose 4350.

Prenumerata kwartalnie (6 numerów) : 4s. 6d. lub $1.50

Prenumerata półrocznie (12 numerów) : 9s. lub $3.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1, December 24th, 1941